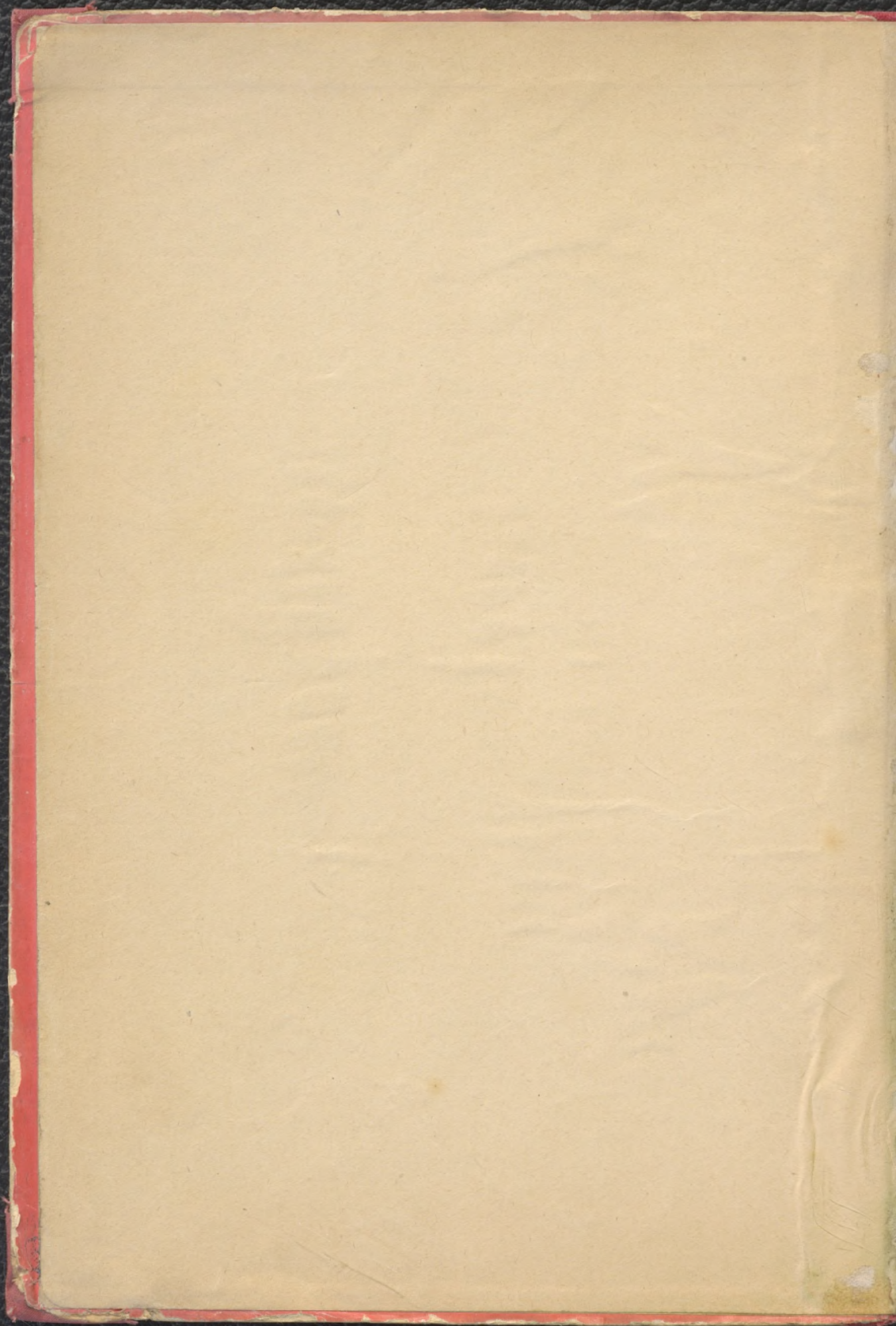
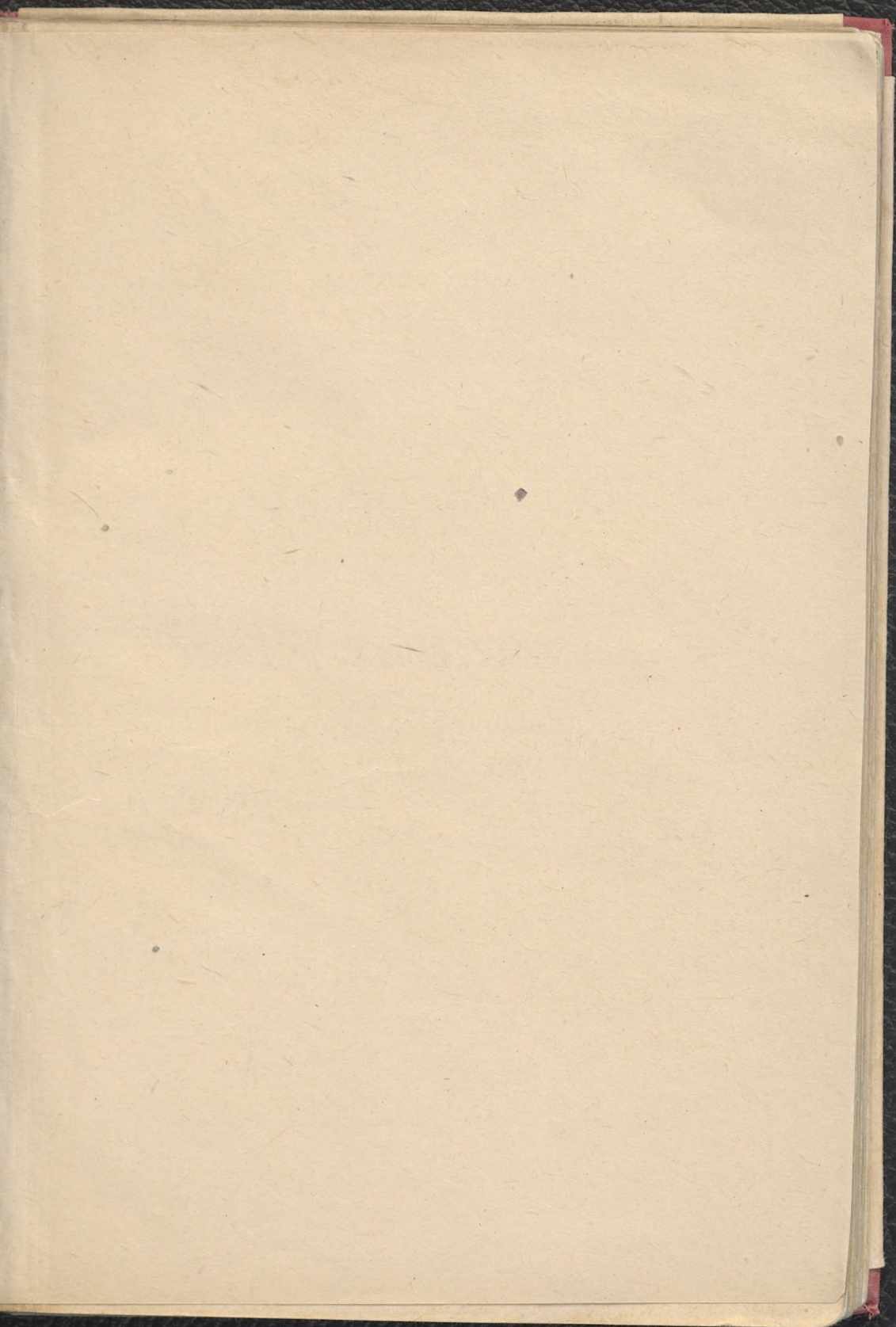


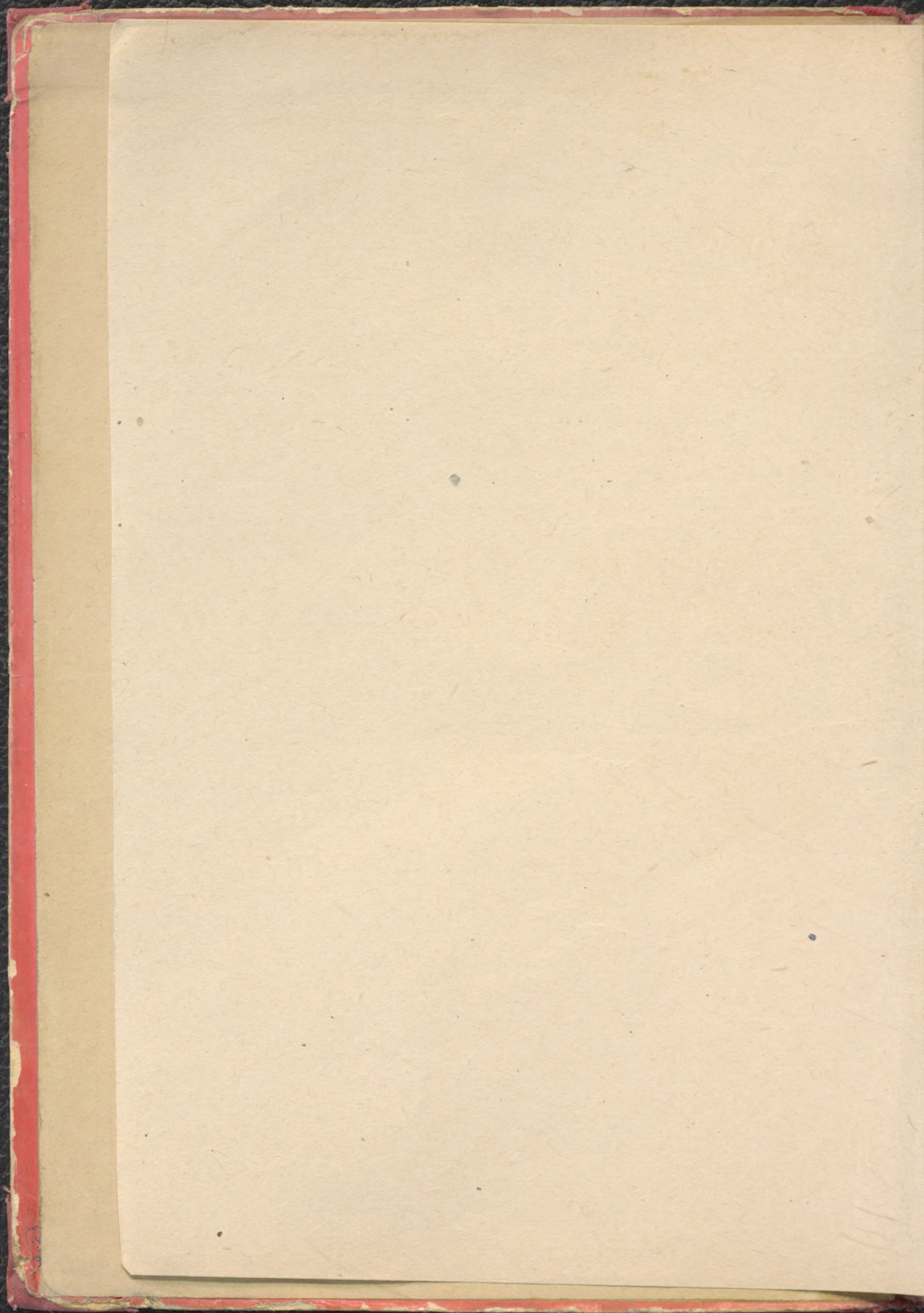


Nowa  
Pównianka  
Opowiadania  
Teresy  
Jadwigi.

Nakładem  
KSIĘGARNI  
M. ARCTA  
w WARSZAWIE.







NOWA RÓWNIANKA

---

PODARUNEK WUJASZKA

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.  
1913

# NOWA RÓWNIANKA

PODARUNEK WUJASZKA

OPOWIADANIA

DLA DZIECI OD LAT 6—8

PRZEZ

TERESE JADWIGĘ

---

WYDANIE DRUGIE

Z 5 RYCINAMI

---

WYDAWNICTWO MICHAŁA ARCTA W WARSZAWIE

Cim.



1.981.267

(A)

2017K 299/9



## RADA FAMILIJNA.

---

Niedaleko od Warszawy, blisko większego lasu wznosiła się piękna willa. Położenie jej nie było wprawdzie bardzo malownicze, bo mazowieckie równiny w piękne widoki nie obfitują, lecz urządzone wykwintnie, zasługiwała w zupełności na nazwę «Cacka», które jej nadano. Na niewielkiem wzgórzu wznosił się domek w guście szwajcarskim, z pięknym gankiem, ozdobionym kolorowemi szybami; po ścianach domu pięto się dzikie wino i zwieszało w zielonych festonach przy balkonie i oknach, tworząc niby firanki. Przed domem rozścielał się wielki, owalny trawnik, miękki jak kobierzec, na nim róże, bratki, lewkonje i werbeny tworzyły różne wzory; w pośrodku biła fontanna, miły szmer i chłód roztaczając wokoło. Po jednej stronie trawnika rosła olbrzymia grusza, która każdego lata parę kóp gruszek dawała; po drugiej dwie wielkie akacje, których zapach, gdy kwitły, załatywał aż do domu; pod cieniem tych drzew stały białe kamienne ławki.

Z drugiej strony domu rozciągał się sad, pełen owoców wyborowych: rosły w nim najprzedniejsze ga-

tunki gruszek, wiśnie, śliwki, soczyste brzoskwinie i morele; były zagony wybornych truskawek, całe szpalery malin. Bogaty był to sad, to też strzegł go od nieproszonych amatorów ogromny brytan, Figlem zwany, czuwający w swej budzie; a prócz tego czujnego stróża, wysokie sztachety otaczały cały ogród. Dalej widać było rozległe pola i łąki, ciągnące się ku rzece, oraz las, pełen sosen, dębów, buków i brzoź.

Wieś ciągnęła się cokolwiek dalej. Tylko przy samym lesie, tuż pod parkanem ogrodu, była mała, napół w ziemię zapadnięta lepianka; ściany jej były ulepione z gliny, dach zapadły i mchem porośnięty, a jedyne okno było prawie bez szyb. Kto zbudował tę lepiankę i kiedy, tego nikt nie wiedział, gdyż stała ona już tutaj widocznie bardzo dawno. Kto w niej mieszkał, o to mieszkańcy «Cacka» nie pytali; widywali wprawdzie czasami zrana bladą, skurczoną, nędznie ubraną kobietę, która z sierpem w ręku latem wysuwała się z niskich drzwi lepianki i ku złocistym polom dążyła, a wieczorem wracała bardziej jeszcze pochylona, lecz nie zajmowali się nią i nie zaczepiali jej nigdy.

Tembardziej nie zajmowały się ubogą i nieznaną sąsiadką dzieci właścicieli «Cacka»: jedenastoletnia Leonka, sześcioletni Henryś i czteroletnia Tonia. Zdarzało się, że przechodziły i one koło tej nędznej lepianki, ale nigdy nie zwróciły na nią uwagi. Tyle innych rzeczy je zajmowało! Miały własnego kucyka, którym każdego poobiedzia jeździły na spacer, miały prześliczny powozik pleciony, w którym wszystko troje pomieścić się mogło wygodnie. Leonka, jako najstarsza, zwykle sama powoziła. Miały dużą klatkę o trzech przedziałach,

a w każdym po parze kanarków, z których czworo same wychowały; miały mnóstwo zabawek, książek i wiele, wiele innych przyjemności.

Były to bardzo szczęśliwe dzieci! Rodzice zdawali się o tem tylko myśleć, by im dogadzać i dla nich to głównie kupili tę willę, by miały latem gdzie biegać i bawić się swobodnie. Używały też tej swobody całą duszą.

Jednego roku rodzice zmuszeni byli wyjechać do wód w celu ratowania zdrowia mamy, która od jakiegoś czasu chorowała. Zostawili więc dzieci pod opieką ciotki, troskliwej opiekunki, która małych swych siostrzeńców bardzo kochała i nawet była dla nich zanadto pobłażliwą. Zwycię dzieci podczas wakacji miewały z cicią rano kilka godzin lekcji, popołudniu także.

Jednego dnia, gdy dzieci jeszcze spały, ciocia weszła do ich pokoju i całując Leonkę na «dzieńdobry», rzekła:

— Dzisiaj będziecie mieli rekreację, bo to twoje urodziny, Leonko, nie będzie więc lekcji. Winien to być dla was nawet dzień uroczysty!

Przytem czule uściskała dziewczynkę i obdarzyła ją upominkiem.

Był to piękny serwis porcelanowy, niebiesko malowany, malutkich rozmiarów. Ciocia dodała do tego małą maszynkę spirytusową, aby Leonka mogła na niej sama przygotowywać czekoladę dla swych gości.

Dziewczynka uradowana zawołała brata i oznajmiła mu o rekreacji i o ślicznym podarunku.

— Dzień jest pogodny — rzekła ciocia — ubierajcie

się żywo, kaźcie zaprządz kucyka do powoziku, pojedziecie na spacer.

— Do lasu, do lasu, ciociu! — zawołały dzieci. — To dopiero będzie wesoło!

— Dobrze — rzekła ciocia — ale w takim razie pojedziecie po obiedzie, bo przed obiadem nie będę miała czasu, a do lasu was samych nie puszczę. Wy starsi pojedziecie swoim powozikiem, a ja zabiorę podwieczorek i z Tonią za wami podążę. Tymczasem idźcie do ogrodu.

— Ale, moja ciociu — rzekła Leonka — co dostaniemy na śniadanie? Bo ja chciałabym dzisiaj sama je ugotować na mojej maszynie i podać państwu w nowych filiżankach.

— Na śniadanie dostaniecie czekoladę i ciastka wyjątkowo, jako w dzień twoich urodzin.

— To ja czekoladę sama przygotowuję, przecież widziałam nieraz, jak ciocia ją robiła.

— Dobrze, ale jakże to zrobisz?

— Wezmę czekoladę, utrę ją na tarce, wsypię w garnuszek, naleję mleka i postawię na mojej kuchence, jeżeli będzie niesłodka, dosypię cukru i będę ciągle mieszała, aż się ugotuje, potem naleje w filiżanki i będzie czekolada gotowa.

— Zatem wiesz jak się czekolada robi, widzę, że uważałaś, ale dzisiaj przyślę wam śniadanie gotowe, bo nie mam czasu być przy was.

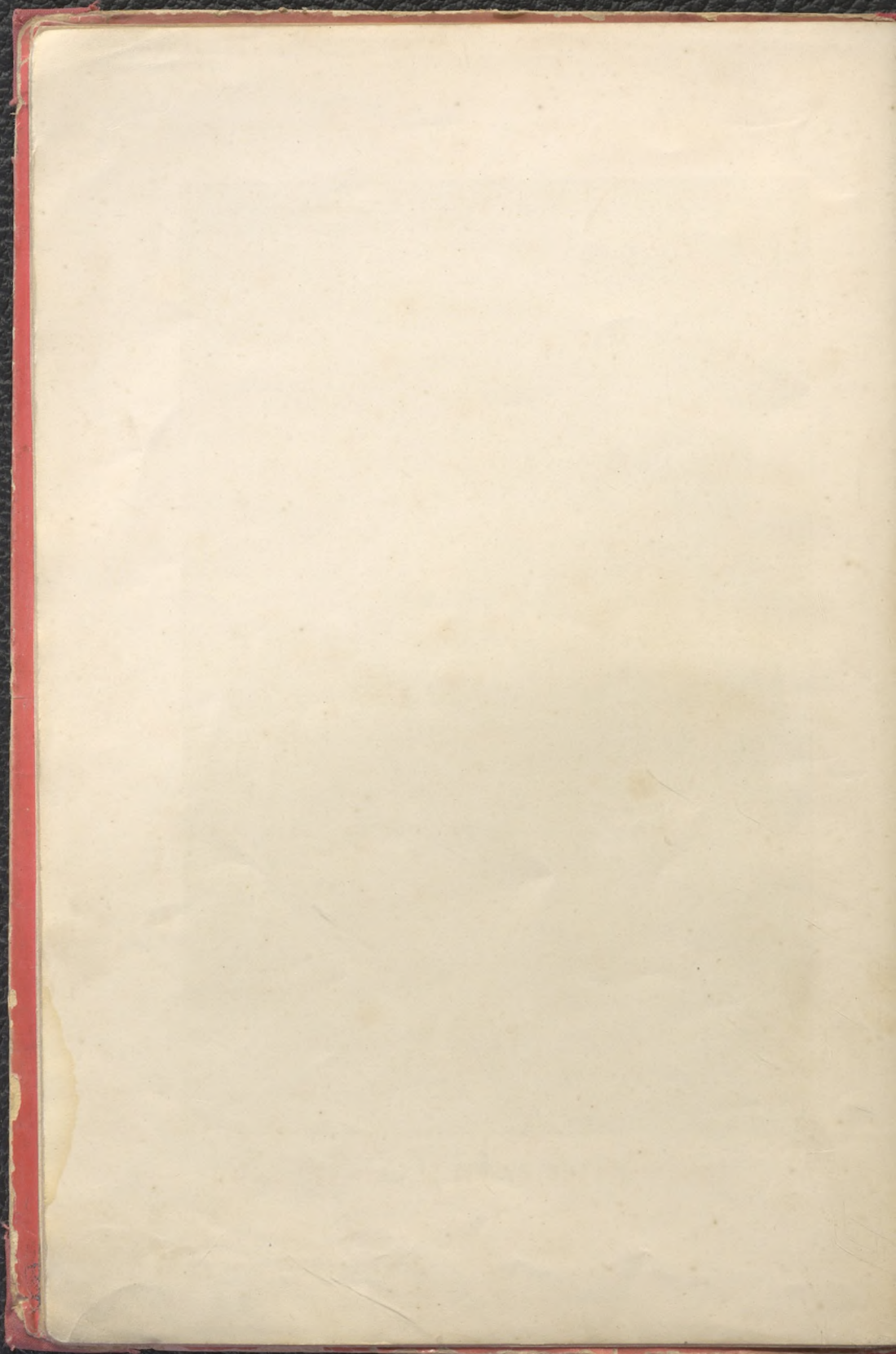
Posłuszna Leonka nie opierała się, powiedziała tylko:

— Ale gdy przyjadą do mnie nasze sąsiadeczki, Mania i Józia, wtedy sama przygotowuję dla nich czekoladę?



E540

RADA FAMILIJNA.



— I owszem—powiedziała ciocia. — Być może, że one na parę dni z miasta do siebie przyjadą, to cię pewno odwiedzą.

Zaraz po śniadaniu dzieci pobiegły w cienistą aleję lipową; Tonia wzięła z sobą wózek i lalkę, Henryś piłkę, a Leonka wolanta. Cały ranek bawiły się dzieci wybornie w ogrodzie, potem zrywały kwiatki i robiły bukieciki.

Gdy tak biegały, spostrzegły, że tylna furтка ogrodu jest otwarta, wyszły więc w pole, gdzie zobaczyły mnóstwo uwijających się nad kwiatkami motylków. Zaczęły się za nimi uganiać i zbliżyły się nieznacznie do graniczącego z ogrodem lasu.

Wtem usłyszały głosy wołające ich na śniadanie: — Panienko! gdzie panienka? Proszę na śniadanie! Zaraz zatem służąca ukazała się w polu.

— Już tak długo szukam panienki i nie mogę znaleźć, gdyby nie furтка otwarta, nie wiedziałabym, gdzie się państwo podzieli!

Dzieci zawróciły; Henryś i Tonia pobiegli szybko do ogrodu. Leonka nie śpieszyła się; obrała sobie dalszą drogę koło parkanu i szła wolno; była znacznie starsza od rodzeństwa, więc chciała im pokazać, że nie jest łakoma i do czekolady bardzo się nie śpieszy.

Właśnie przechodziła niedaleko od nędznej chatki, gdy usłyszała jakiś pisk, czy płacz, jakby z niej wychodzący; zastanowiło ją to, zatrzymała się i poczęła wsłuchiwać. Pisk ów pochodził istotnie z wnętrza chatki; po raz pierwszy zwróciła Leonka na nią pilniejszą uwagę.

— Jakaż to nędzna chata! — szepnęła sama do siebie — i podeszła ku niej.

— Tam ktoś płacze z pewnością — dodała — pójdę zobaczyć.

Z temi słowy skierowała się do drzwi chaty i spróbowała je otworzyć, lecz były zaparte; zastukała, nikt nie otworzył, tylko płacz ucichł; niebawem wszakże ponowił się. Leonka zastukała po raz wtóry, znowu toż samo, płacz ucichł na chwilę, lecz zaraz się powtórzył, nikt się jednak nie pokazał.

Nie mogąc otworzyć, Leonka skierowała się już do ogrodu, aby udać się do altanki, jednak chwilę się jeszcze zatrzymała. Zdawała się namyślać, co zrobić? Nareszcie zwróciła się ku chacie i podeszła z drugiej strony, do okienka, wspięła się na palce i przechyliwszy się, zajrzała do wnętrza biednej lepianki. Na pogodnej jej twarzy odmalowało się przykre zdziwienie. Bo też strasznie biedna była izdebka, którą ujrzała: pod jedną ze ścian stał tapczan, na nim brudna płachta przykrywała garść słomy, mającą służyć za pościel; pod drugą widać było komin pusty, a obok niego konewkę. Przy tej konewce stała dziewczynka, może trzyletnia, w brudnej koszulce i spódniczce, chuda, żółta, z oczami podsiniałemi; drobnymi rączkami usiłowała nachylić ciężkie naczynie, pełne wody, aby się napić. Widok ten wzruszył Leonkę.

— Biedactwo — szepnęła — jakież to nędzne i brudne, i zupełnie samo, jakże mi go żal!

— Malutka! — dodała głośniejszym głosem — nie płacz, ja ci przyniosę wody, to się napijesz.



Dziewczynka podniosła główkę, spojrzała ku oknu, i na wynędniałej jej twarzyczce odmalował się przestach; umilkła, otworzyła usta i chwilę stała nieporuszona; poczem naraz z krzykiem trwogi schowała się za konewkę.

Leonka rozśmiała się.

— Nie bójże się mnie — odezwała się do dziecka — nie zrobię ci nic złego.

Lecz mała nie ruszyła się z miejsca.

— Co tu robić? — mówiła Leonka do siebie. — Drzwi zamknięte, jak się tam dostać? Do okna nie mogę się zbliżyć, bo biedactwo się boi.

I znów zwróciła się do dziecka.

— Chodź tu do mnie — mówiła — powiedz mi, gdzie twoja mama, dam ci wody, podejdź tylko bliżej do okna.

Ale mała i teraz nie poruszyła się. Widząc, że nie przełamie jej oporu, Leonka oddaliła się zwolna i pośpieszyła do ogrodu, do altanki.

— Wiecie, że w tej budce, co stoi pod lasem, za naszym ogrodem, mieszkają ludzie — rzekła, wszedłszy do altanki. — Ja myślałam, że w niej nikogo niema.

Henryś, który siedział przy stole i zapijał z wielkim smakiem czekoladę, obrócił się do siostry.

— A kto taki? — spytał.

— Jakieś dziecko, maleńka dziewczynka, brudna, zamazana i żółta jak cytryna, podobna zupełnie do tego dziecka dzikich z Australji, któreśmy widzieli na obrazku. Pamiętasz?

— Pamiętam — odpowiedział, — a czy ona ma mamę?

— Nie wiem, w chacie oprócz niej niema nikogo, biedactwo płacze ciągle.

— Czego płacze?— spytała Tonia, która siedząc na ziemi obok wózka lalki, spokojnie dotychczas zapijała czekoladę i swoją lalkę nią częstowała.

— Pewno jej się pić chce, usiłowała nachylić konewkę z wodą, ale zaciężka, a może jest i głodna — odparła Leonka.

— A nie mogłaś, Leonko, wejść do niej?

— Właśnie, że chciałam, ale drzwi są na klucz zamknięte. Próbowałam otworzyć, stuktałam, ale nikt się nie odzywał, tylko ta mała płakała.

— A którą ją widziałas?

— Przez otwarte okienko, a chciałabym jej dać pić; tylko jak się do niej dostać?

To powiedziawszy, Leonka oparła obie rączki na wózku lalki i zamyśliła się.

Henryś, który niósł właśnie do ust wielki obwarzanek, zatrzymał się z jedzeniem.

— Wiesz Leonko, — rzekł — zanieśmy jej nasze ciastka i czekoladę. Podamy jej przez okno — odezwał się po chwili.

— Mówiłam ci przecież, że ona nie chce się przybliżyć do okna, wołałam ją, lecz chowała się za konewkę i wyjść nie chciała — trochę niecierpliwym tonem odrzekła Leonka.

— Pokaż jej ciastko, to może wyjdzie — rzekł Henryś.

— Pójdźmy — powiedziała Leonka.

Wzięła swoje ciastka, Henryś cały obwarzanek, Tonia swoją połowę słodkiej bułeczki i udali się do ubo-

giej chatki. Leonka wspięła się na sztachety i do izdebki przez okno zajrzała. Mała siedziała teraz przy tapczanie na ziemi i płakała cicho. Leonka wsunęła rękę z wielkim rogałem w okno.

— To dla ciebie — rzekła — chodź, weź sobie!

Mała ucichła, powstała, lecz natychmiast schowała się za komin; napróżno Leonka jak najłagodniej przemawiała do niej, próżno Henryś ją wołał, nie pokazała się ani na chwilę.

— Rzuć jej mój obwarzanek przez okno — rzekł chłopczyk — może go zje, gdy odejdziemy.

I łącząc czyn z chęcią, podał Leonce ciastko, a ta rzuciła je do izdebki. Potem Leonka rzuciła swoje, a zachęcona ich przykładem Tonia prosiła, aby jej bułeczkę, chociaż napoczętą, także rzucić do izby, aby biedna dziewczynka i od niej coś dostała.

Dzieci poczekały jeszcze chwilę, patrząc, czy mała nie wysunie się z za komina, lecz widząc, że nadzieje ich próżne, odeszły.

— Wiecie co, najlepiej będzie, gdy poradzimy się ciotci i opowiemy jej wszystko — rzekła Leonka — chodźmy do niej.

I skierowała się ku domowi; młodsze rodzeństwo podążyło za nią.

Ciocia siedziała w swoim pokoju; zajęta była obieraniem gruszek, bo chciała na urodziny swej pieśczochy przygotować obiad sutszy, niż zazwyczaj; miał więc być kompot z owoców.

Leonka, stanąwszy przed ciotką, opowiedziała jej wszystko, Henryś i Tonia słuchali.

— Czy nie wiesz, ciociu, jak się nazywa ta dziewczynka? — spytała Leonka, skończywszy opowiadanie.

— Nie wiem — odpowiedziała ciocia — nie zwróciłam uwagi na tę biedną chatkę; zawiniłam względem jej mieszkańców, wyznaje, bo przecież to niedalecy sąsiedzi, powinni byli nas zajmować, tem więcej, że są od nas biedniejsi; ale nigdy tam nikogo nie spostrzegłam. Postaram się jednak błąd naprawić. Zawołaj mi, Leonko, Józefa.

Józef był to ogrodnik. Leonka pobiegła do kuchni; była właśnie godzina obiadowa i Józef czekał.

— Józefie! — zawołała — ciocia prosi.

Stary ogrodnik natychmiast pośpieszył za dziewczynką.

— Co pani każe? — zapytał, wszedłszy do pokoju.

— Czy nie wiesz, mój dobry Józefie, kto mieszka w tej biednej chacie, która stoi pod lasem, tuż za parkanem naszego ogrodu?

— Jakże miałbym nie wiedzieć — odparł prostodusznie — a toż grzechem byłoby nie znać tak blizkich sąsiadów. Mieszka tam biedna wdowa, Kaźmierzowa z córeczką; biedne dziecko ciągle chore, lecz nie dziw, zwykłe ich pożywienie — to chleb czarny i woda, a ta nędzna chałupa to jej cały majątek po mężu.

— A kiedyż można widzieć tę Kaźmierzową, kiedy ona powraca do domu? — zapytała jeszcze ciotka.

— Późnym wieczorem.

— A to dziecko cały dzień jest samo, zamknięte?

— A cały, proszę pani, czasami, gdy jest zdrowsze, to je matka bierze z sobą w pole.

— Dziękuję ci, mój Józefie, za te wiadomości

o biednej wdowie — rzekła ciotka — już my się nią zajmujemy.

Józef skłonił się z szacunkiem i wyszedł z pokoju, a ciotka zwróciła się do dzieci:

— Siądźcie, złożymy radę familijną — rzekła — obmyślimy, co możemy zrobić dla tej biednej dziewczynki.

Leonka i Henryś siedli poważnie na krzesłach, mała Tonia na stołeczku u nóg ciotki — cisza zaległa pokój.

— Cóż myślicie zrobić dla tej sierotki?

Dzieci spojrzały po sobie, potem na ciotkę.

— Właśnie, że nie wiemy — odezwała się Leonka — najprzód trzeba się tam dostać, bo drzwi są zamknięte, a zdaje się, że jest głodna, rzuciliśmy jej tymczasem nasze ciastka.

— Bardzo pięknie zrobiłyście, moje dzieci, ale to niedosyć, trzeba dopomódz jej matce.

— Możeby jej dać pieniędzy? — odezwał się Henryś — przecież mamy nasze własne.

— Ślicznie mówisz, Henryczku — rzekła ciotka — a ileż macie?

— Ja mam całe dwa ruble — zawołała Leonka.

— A ja dziesięć złotych — rzekł Henryś.

— A ja mam tylko czterdzieści groszy — z westchnieniem szepnęła Tonia — czy i ja dam?

Ciocia pogłaskała jasną jej główkę.

— Bądź spokojna i ty także dasz — rzekła — niechaj powie Leonka i Henryś, ile by dali ze swych pieniędzy.

— Wszystko damy! — zawołali razem Leonka i Henryś.

— Wszystkiego naraz nie trzeba, nie jedna Kaźmierzowa biedna na świecie, możecie innych jeszcze biednych wesprzeć, a i dla siebie coś także trzeba zostawić. Leonka da rubla, a Henryś pięć złotych, ja zaś dodam trzy ruble i kopiejek dwadzieścia pięć.

— To będzie razem pięć rubli — zawołała Leonka.

— Tak jest; za te pieniądze kupimy kaszy, słoniny i kawałek mięsa, weźmiemy z drwalni trochę drzewa i pošemy to wszystko biednej wdowie, a pozostałe pieniądze damy jej do ręki.

— A ja co dam? — spytała Tonia.

— Ty masz dwie lalki, jedną z nich darujesz tej małej sierotce, dobrze?

Smutna twarz Toni rozjaśniła się.

— Dam krakowiankę, bo ładniejsza — rzekła.

— Macie dobre serduszka — powiedziała ciotka — cieszy mnie to bardzo, Pan Bóg i ludzie będą was kochać i dobrze wam będzie na świecie. Lecz jak wam się zdaje, czy tej małej tylko jeść braknie? Pomyślcie i powiedzcie mi.

Dzieci zastanowiły się.

— Nietylko jeść jej się chce — powiedziała po chwili Leonka, — lecz pewno jej smutno, że cały dzień jest sama.

— Jabym także ciągle płakał, gdybym był sam — dodał Henryczek.

— A widzicie, brak jej opieki, zaradzimy i temu: powiemy Kaźmierzowej, żeby przysyłała swoją małą do nas, gdy sama pójdzie do roboty. Dziewczynka będzie

się zrana bawić w kuchni, pod opieką Jakóbowej, to poczciwa kobieta, nie zrobi jej krzywdy; lecz komu powierzyć ją po obiedzie? Jakóbową nie mieszka u nas stale i odchodzi w tej porze do męża i dzieci.

— My będziemy się z nią wtędy bawić! — zawołał Henryś.

— Nie wiem, czy będzie można i czy zechcecie, mówiliście, że jest strasznie brudna, że nie ma sukienki — rzekła ciocia.

— Ja ją umyję, uczeszę i jeśli ciocia pozwoli, podaruję jej jedną z moich sukienek.

— Twoja sukienka będzie pewno zaduża — powiedziała ciocia.

— Czy nie możnaby jej przerobić? — spytała Leonka.

— Można, lecz ja na to nie mam czasu, skroję ją z ochotą, a któż uszyje?

— Ja, ciociu! — zawołała Leonka.

— A ja dam jej moje stare buciki i pończoszki — rzekła Tonia, — czy ciocia pozwoli?

— Pozwolę, moje dziecko.

— A więc uradziliśmy — rzekła Leonka — teraz przynieśmy nasze pieniądze i pójdźmy z Jakóbową kupić kaszy, słoniny i mięsa, a o siódmej wybierzemy się do Kazimierzowej w odwiedzinę i poprosimy ją, aby to przyjęła. Powiemy jej także, aby od jutra przyprowadzała do nas na cały dzień swoją córeczkę.

Dzieci zerwały się z krzesel i ucałowały ciotkę serdecznie.

— My ją zaraz jutro umyjemy, uczeszymy i przeberzemy — rzekła Leonka — przerobię zaraz moją per-

kalową sukienkę niebieską, bo ta jest na mnie zakrótką, i poproszę Jakóbowej, aby ją uprasowała. Ty, ciociu, ją skroisz, a ja potem uszyję!...

— Ale trzeba wprzód tę małą zobaczyć, jak jest duża — rzekła ciotka — ażeby sukienka była dobra.

Leonka pobiegła do szafy i zaraz zaczęła pruć spódniczkę.

Ciocia była uszczęśliwiona, że ma tak dobrych siostrzeńców, pokochała ich dziś jeszcze więcej.

Jak postanowiono, tak zrobiono. O siódmej wybrali się wszyscy do sąsiadki w odwiedzinę.

Kaźmierzowa już powróciła; a gdy drzwi jej lepianki rozwarły się i niespodziewani goście stanęli w progu i pozdrowili ją pobożnym «niechaj będzie pochwalony», tak oniemiała ze zdumienia, że zapomniała odpowiedzieć: «Na wieki wieków, amen». Gdy zaś dowiedziała się, w jakim celu ta dobra pani i te śliczne dzieci do niej przyszły, gdy Jakóbową złożyła na stole worek z kaszą, słoninę, mięso i kilka wiązek drzewa, a ciotka dała jej w rękę trzy ruble, to biedna kobieta rozplakała się ze wzruszenia.

— Niech Pan Jezus i Matka Boska stokrotnie wam wynagrodzą, jasna pani i wam jasne paniątka — rzekła — a toż my całą zimę i wiosnę takich dobrych rzeczy nie jadły, naszym pożywieniem przez całą zimę był chleb czarny. Maryś — dodała, wzrokiem obiegając izdebkę — gdzie ty? chodź, podziękuj państwu.

Ale Marysia, ujrawszy tyle osób, ze strachu schowała się; Kaźmierzowa zaczęła jej szukać i znalazła wreszcie pod tapczanem; wyciągnęła ją stamtąd i trzymając za rękę, gładziła jej rozczochraną główkę.



— Morusek mój biedny, nie dziwujcie się jej panienki i nie śmiejcie się z niej; niema kto na nią wołać, aby się umyła i uczesała, ja raniutko wychodzę do roboty, to biedactwo jest brudne od rana do nocy. Was, paniątka, matka od kolebki myje, czesze, kąpie, pieści i chucha na was, ja na to czasu nie mam.

— Jutro będzie ona czysta, tylko przyprowadźcie ją do nas — rzekła ciotka.

Kaźmierzowa pokłoniła się do nóg dobrej pani.

— Niech wam Bóg błogosławi, moi dobrzy państwo — rzekła raz jeszcze, końcem fartucha ocierając wilgotne oczy.

— A przyprowadźcie ją do nas napewno! — zawołały jeszcze dzieci, odchodząc.

Zadowolone wróciły do domu, a gdy wieczorem mówiły ciotce dobranoc, Leonka rzekła:

— Wie ciocia? Tak miłych urodzin, jak dzisiejsze, nigdy jeszcze nie miałam.

— To dlatego tak ci przyjemnie, żeście spełniły dzisiaj dobry uczynek i zaopiekowałyście się sierotą.

Nazajutrz Kaźmierzowa przyprowadziła swego moruska; spódniczka była prawie gotowa, Leonka szyła ją do późnej nocy i na drugi dzień od samego rana, lecz skończyła na czas dopiero przy pomocy cioci. Bardzo się też ucieszyła, bo pierwszy raz szyła sukienkę... już nie dla lalki.

Jakóbowa wyręczyła Leonkę: wykapała biednego brudaska i uczesała, potem ustroiła w czystą koszulkę i nową spódniczkę. Dzieci zdziwiły się, ujrawszy sierotkę przebraną; zrobiła się z niej ładna dziewczynka.

Odtąd Marysia spędzała całe dni w «Cacku», rano pod opieką Jakóbowej, po obiedzie z dziećmi, które ją bardzo polubiły, bo była grzeczna, delikatna i posłuszna. Leonka kupiła jej potem jeszcze za własne pieniądze perkalu na drugą sukienkę, a Henryś sprawił nowe trzewiczki. Dzieci szczerze zajęły się sierotką, myślały odtąd tylko o niej, jakby jej dogodzić, czuły się jej opiekunami i chciały względem niej spełniać obowiązki przyjęte, pragnęły, aby miała wszystko tak, jak one same.

Gdy rodzice wrócili z zagranicy i ciotka opowiedziała im o tem postąpieniu ich córeczek i synka, ucieszyli się serdecznie.

— W nagrodę za wasz postępek zajmę się szczerze losem Kaźmierzowej — rzekł ojciec. — Gdy jesienią wrócimy do Warszawy, zostawimy pod jej opieką nasze «Cacko», będzie doglądać naszego drobiu i krów, będzie czuwać nad całym domem; bieda nie dokuczy jej więcej.

— A ja, gdy Marysia skończy lat siedm, nauczę ją czytać i pisać — rzekła Leonka.

— A ja rachować i nauczę ją historii polskiej z Wieczorów w Ojcowie — dodał Henryś.

— A ja czego? — spytała nieśmiało Tonia.

— Ty bajeczek i piosenek, jakich tyle umiesz — rzekła mama, całując czule swą najmłodszą pieścioszkę.

## WRÓBELEK.

---

Karolcia bardzo lubiła ogród i chętnie w nim przebywała. Mama ją też nauczyła, jak sadzić kwiatki, jak je podlewać, zrywać i jak je układać w równiankę.

Pewnego dnia rano Karolcia wybiegła do ogródka, zrywała kwiatki na bukiet, obierała róże z liszek, które je obsiadły i przywiązywała krzaczki do tyczek.

Gdy tak była zajęta, usłyszała naraz jakiś cichy pisk, który zdawał się dobywać z trawy; zciekawiona nachyliła się i ujrzała tuż przy sobie leżącego maleńkiego ptaszka; gdyby postąpiła jeden krok jeszcze, byłaby go zdeptała; aż się jej zimno na tę myśl zrobiło. Podniosła go i spostrzegła, że nieszczęśliwe stworzonko było prawie jeszcze nagie, tylko w kilku miejscach widać było wydobywające się z pod skóry pióreczka. Karolcia sama nie wiedziała, co począć z tem biedactwem. Wtem ujrzała idącego w alei ojca, podbiegła więc ku niemu.

— Ojczy, patrz! Znalazłam małego, zupełnie nagiego ptaszka, powiedz, co z nim zrobić?

Ojciec Karolci zatrzymał się, wziął ptaszka z rąk dziewczynki.

— A gdzieś go znalazła? — zapytał.

— Tu w trawie — odpowiedziała.

Pan Wroński obieł wzrokiem trawnik wokoło.

— Jakies niedobre dziecko musiało go wyjąć z gniazdka rodzicielskiego — rzekł — i tutaj go rzuciło. Jest to wróbelek, a wróble gnieźdzą się zwykle przy budynkach, ten trawnik nie może być ich mieszkaniem. Biedny sierota! nie możemy już go powrócić rodzicom, bo nie wiemy, gdzie mają gniazdko.

— Więc cóż z nim zrobimy? — spytała zasmuconą tą odpowiedzią Karolcia.

— Musimy choć w części naprawić to złe, które mu ktoś wyrządził, może go potrafimy wykarmić i zastąpić biednemu ptaszкови rodziców...

Myśl ta wprowadziła Karolcię w zachwyt, aż kłasnęła w rączki z radości.

— Trzeba mu zaraz łóżeczko urządzić — rzekła — i pobiegła do domu.

Niebawem wróciła, niosąc maleńki koszyczek, który wyłożyła poduszką lalki.

Pan Wroński ułożył ostrożnie na tem postaniu wróbelka, z czego ten wydawał się być bardzo zadowolonym i Karolcia wróciła z nim do domu. Następnie za radą ojca naląła na spodek trochę wody ciepłej, nadrobiła bułki i zaczęła karmić ptaszka. Wróbelek otwierał dzióbek szeroko i połykał odrobiny; dziewczynka nabrała nadziei, że zastąpi biednej ptaszynie matkę; zaniósła koszyczek z ptaszkiem do swego pokoju i postawiła go na oknie. Odtąd czuwała pilnie nad sierotką.

Ojciec powiedział jej, ile razy na dzień ma karmić wróbelka i czem go żywić; dziewczynka jak najakurat-

niej trzymała się rad jej udzielonych, i ptaszek jadł, rósł, a po kilku tygodniach zaczął się pokrywać pierrzem. Już świergotał coraz głośniej, a gdy mu piórka cokolwiek urosły, rozszerzał zabawnie skrzydełka, jakby próbował, czy są dość silne do lotu. Karolcia nie posiadała się z radości, kupiła mu gniazdko ze słomy, wysłała je miękko i umieściła w klatce.

Ptaszynka przywiązała się bardzo do Karolci, poznawała ją zdaleka, trzepotała skrzydełkami i głośno się do niej odzywała, gdy się do klatki zbliżała.

Nareszcie dorósł zupełnie; sam teraz zlatywał z gniazdko po ziarno, które mu Karolcia codzień troskliwie do klatki sypała.

Zwykle wypuszczała go w dzień na swobodę, wróbelek wówczas wesoło używał wolności: fruwał po pokoju, siadał jej na głowie, dziobał warkocze, świergotał wesoło i skakał po sprzętach pokoju.

Tak minęła jesień, potem zima, nadeszła wiosna. Znikł z ziemi pokrywający ją biały puch, łąki zazieleniły się, tysiące kwiatów na nich zakwitło.

Ogródek wystroił się także: krzewy i drzewa pokryły się liśćmi i pączkami, które pod ciepłym powiewem wiatru i promieni słońca prędko się porozwijały. Z różnych stron świata zbiegło się doń ptactwo rozlicznego gatunku: wilgi, gajówki, sikorki i skowronki; pięknie było w ogródku, pięknie w całej wiosce.

Lecz rzecz dziwna, wróbelek zamiast się cieszyć, posmutniał czegoś.

Karolcia w niczem się dlań nie zmieniła, przeciwnie, lepiej mu było teraz niż dawniej, gdyż lepsze miał po-

żywienie; dziewczynka przynosiła mu codzień rozmaite przysmaczki. On przecież już nie był taki, jak wprzód.

Skoro tylko Karolcia klatkę otworzyła, wymykał się z niej natychmiast, lecz nie po to, by sięść, jak dawniej, na główce swej pani i swawolnie skubać jej płowe warkocze; teraz siadał na oknie i napuszony posępnie patrzył w ogród, lub dzióbkiem tłukł nieciergliwie szybę; od jedzenia uciekał, nie świergotał już wcale.

— Sama nie wiem, co jest memu wróbelkowi — rzekła raz Karolcia do matki — taki teraz zawsze smutny, jeść ani pić nie chce, a przecież niczego mu nie brak: ma śliczną klateczkę, szufladkę pełną ziarna, daję mu cukru i wody świeżej codzień, nie pojmuję więc, czego on chce jeszcze?

— Czego chce? — powtórzyła za Karolcią matka — tego, co jest najmilsze każdemu stworzeniu, tak człowiekowi, jak i ptaszкови, chce swobody... Biedny twój wróbelek zimą nie czuł, że jest więźniem, lecz teraz, gdy usłyszał wesoly świergot swych braci, gdy ujrzał, jak oni swobodnie wzbijają się pod same obłoki, jak ścielą sobie gniazdka, żyją i pracują razem, to i jemu zrobiło się smutno w pokoju i chciałby rozbić szybę, która mu broni wyfrunąć na szerszy świat; chciałby wylecieć do swoich i być jak one swobodnym, szczęśliwym.

Karolcia zamyśliła się.

— Wyobraź sobie, córeczko, gdyby ciebie ktoś obcy wziął z domu rodziców, gdyby ci dał na mieszkanie pałac wspaniały, karmił cię ciastkami i różnymi przysmakami, pieścił, dogadzał, lecz nigdy ci nie pozwalał

wyjscie poza obreb palacu, ani przyjsc do ciebie zadnej dziewczynce, nikomu z twoich, dobrzeby ci bylo w tym palacu?

— Oj niedobrze! — z przekonaniem odparla dziewczynka.

— Wiece i wrobelkowi jest niedobrze u ciebie; i on moze pamietat rodzicielskie gniazdko, z ktorego jakas okrutna reka go wyrzucila i tesczni za niem, towarzystwo zas twoje jest nieodpowiednie dla niego, bo on tak pragnie towarzystwa ptaszkow, jak ty dziewczynek. Bylas bardzo dobra dla niego, bos sierote przygarnela i wychowala, on ci sie tez odwdzieczyt: przywiazal sie do ciebie, kocha cie, lecz o ilez bardziej bylyby wdziecznym, gdybys mu dala to szczescie, za jakim wzdycha.

— Wiece chcesz, mamuniu, bym go do ogrodu puscala? — spytala smutnie Karolcia.

— Nie powiedzialam, ze chce tego — odparla mama — mowilam tylko, ze wrobelk tego pragnie; zrob jednak tak, jak ci serduszko poradzi, wrobelk do ciebie nalezy; powiadasz, ze go kochasz nad zycie, slyszalam nieraz, ze sie tak wyrazalas, wiec zostawiam ci swobode postapienia, jak zechcesz.

Karolcia nic nie odpowiedziala, poszla do wrobelka, zanosla mu kawalek cukru, popiescila sie z nim i do klatki zamknela; wrobelk usiadl smutny na szczeblu i patrzyl w ogród.

— Przyniose ci cos dobrego — rzekla dziewczynka — badz tylko jak dawniej wesoły.

I pobiegla do ogrodu, narwala salaty i muchotrzewiu, schwytala kilka malych liszek i przyniosla to

wszystko ulubieńcowi, przytem ustroiła mu klatkę zielonemi liśćmi. Lecz ptaszek nie ruszył się z miejsca, jakby tego nie widział. Tego dnia Karolcia smutna poszła spać i całą noc śniła o wróbelku, że mówił do niej:

— Kochasz mnie, a nie chcesz, abym był szczęśliwy, ty siebie lepiej kochasz, aniżeli mnie.

Obudziwszy się, Karolcia ubrała się przedziutko i do ptaszka pobiegła; wróbelek siedział ciągle smutny na pręciku, napuszony, jak gdyby był chory.

Dziewczynka otworzyła klatkę i odchyliła okno, prowadzące na ogród; prąd świeżego powietrza wpadł do pokoju, a z nim wesoły, głośny gwar ptasząt, które latały swobodnie w ogródku. Wróbelek zeskoczył z pręcika, wyszedł z klatki i stanął na oknie, obrócił główkę w jedną stronę, potem w drugą; teraz nie miał miły chorego, był wesoły.

Karolcia patrzyła na niego niespokojnie, w serduszkach jej toczyła się walka: puścić ulubieńca, czy zamknąć przed nim okno. Wtem ptaszek zatrzepotał skrzydełkami, jakby miał zamiar frunąć, z ust Karolci wyrwał się krzyk bolesny, skoczyła do okna i zamknęła je śpiesznie.

— Jutro cię puszcę — rzekła — jutro napewno, jeszcze nie dziś, dziś nie mogę!

I wzięła wróbelka w ręce i całować go poczęła.

— Mój drogi, mój złoty, ja cię tak kocham — mówiła.

— Najłatwiej miłość okazywać pocałunkami i słowami — odezwał się naraz ojciec Karolci, który już



od kilku chwil stał za nią w progu pokoju i przypatrywał się córce — najtrudniej zaś zrobić poświęcenie z siebie.

Dziewczynka zrozumiała myśl ojca i zarumieniła się.

— Jutro puszczę go z pewnością, ponowiła obietnicę, i zanosła ptaszka do klatki.

— Ja cię tak kocham, nie mogę, nie mogę się rozstać z tobą — mówiła, całując ptaszka — jutro puszczę cię, lecz jeszcze nie dziś...

I tak codzień ponawiała obietnicę, że swego ulubieńca obdarzy nazajutrz swobodą, a gdy to jutro przyszło, kończyła na pieszczotach i na znoszeniu mu przysmaków.

— Nie mogę, nie mogę jeszcze tego zrobić — mówiła do siebie — on może się rozweseli, poczekam jeszcze... I... czekała...

Tymczasem wróbelek z każdym dniem stawał się smutniejszym; potrafił teraz całymi godzinami siedzieć nieruchomy, wpatrzony w jedno miejsce, jadł bardzo mało, rzadko kiedy zlatywał z pręcika; czasami tylko, kiedy poza oknem rozległ się wesoły szczebiot jego braci, wtedy podnosił główkę, zwracał ku nim spojrzenie i żałośnie szczebiał, jakby się użalał na swą niedolę.

Karolcia miała tak główkę zajętą wróbelkiem, że często śniła o nim. Otóż pewnej nocy śniło się Karolci, że wypuściła wróbelka z klatki, otworzyła okno i ptaszek poleciał do ogrodu, poleciał szczęśliwy, wesoły, siadł na prastarej lipie, co naprzeciw okna rosła i zaszchebiał tak pięknie, jak nigdy jeszcze, a jej się zdało, że mówi do niej:

— Dziękuję ci, dobra Karolciu, że dla mego szczęścia umiałaś wyrzec się własnej przyjemności; teraz wierzę, iż szczerze mnie kochasz.

A jej zrobiło się na sercu tak jakoś błogo, tak miło, tak przyjemnie...

Skoro tylko zbudziła się rano, wstała natychmiast, ubrała się śpiesznie i rzekła do siebie:

— Dziś puszczę wróbelka do ogrodu.

I nie czekając na śniadanie, poszła wprost z sypialni do pokoju, gdzie stała klatka.

— Ciesz się — rzekła stając na progu drzwi — będziesz nareszcie wolny!

To mówiąc, spojrzała na klatkę; lecz wróbelka na pręciku nie było.

— Pewno je śniadanie — szepnęła.

Z temi słowy zbliżyła się do klatki. Lecz jakież było jej przerażenie!... ptaszek leżał nieruchomy na piasku...

Otworzyć drzwiczki, wyjąć wróbelka, stało się dziełem jednej chwili, lecz zaledwie ujęła go, krzyk bolesny wyrwał się z jej ust... ptaszek był zimny i sztywny; a to zimno, jakie uczuła, dotykając go, tak było przykre, iż puściła wróbelka i ukrywszy twarz w dłoniach, płakać głośno poczęła.

Mama Karolci, która w przyległym pokoju przygotowywała śniadanie, przestraszona przybiegła do niej.

— Co ci się stało? — spytała.

— Ach, mamol wróbelek... zdołała zaledwie wśród łkania wyjąkać.

Pani Wrońska spojrzała na klatkę; nie potrzebowała już wyjaśnienia.

— Biedna ptaszyna — rzekła ze szczerym smutkiem — umarła z tęsknoty, żal mi jej serdecznie.

Karolcia głośniej jeszcze zaszlochła.

— I ciebie mi żal — dodała mama, zwróciwszy spojrzenie na córkę — widzisz, gdybyś go była puściła na swobodę, byłabyś dziś zadowolona z siebie, a tak wyrzucasz sobie, że przez ciebie biedny ptaszek nie żyje; jednak miałas zamiar go wypuścić, dobry twój duch widocznie szeptał ci: «obdarz go wolnością», lecz nie posłuchałaś tego ducha, poszłaś za głosem tego, co ci źle radził. W sercu ludzkim często dwa głosy się odzywają, jeden daje nam dobre, zacne rady, drugi złe, samolubne; kto posłucha dobrego, ten rad potem z siebie; ale niestety, częściej słuchamy złego głosu, a potem, gdy już zapóźno, żałujemy i płaczemy.

Karolcia przytuliła się do matki, przestała płakać.

— Zawsze, zawsze będę teraz słuchała głosu dobrego, on mi co rano szeptał cichutko:

«Wypuść biednego ptaszka».

— O! czemuż go nie posłuchałam!

I łzy nanowo napełniły jej oczy.

Matka pocałowała ją w czoło.

— Łzy nie wskrzeszą ptaszka — rzekła — trzeba go teraz pochować w ogródku; zajmij się tym smutnym obrzędem, połóż kamyk na jego grobie, a ja umieszczę na nim napis, który ci przypominać będzie, że dobrych natchnień zawsze słuchać trzeba.

Karolcia otarła oczy, wyjęła martwego ptaszka z klatki, zaniósła go do ogrodu i zakopała pod tą samą lipą, na której go we śnie swoim widziała wolnego i weso-

tego; znalazłszy zaś na dziedzińcu biały gładki kamień, położyła go na wierzchu.

Gdy nazajutrz przyszła, by odwiedzić mogiłkę zamęzonego ptaszka, przeczytała na kamieniu następujące słowa:

Gdy posłuchasz dobrych natchnień  
Anioła — co strzeże ciebie,  
Gdy pójdziesz za jego głosem,  
To nie zapłaczesz na sobie.

---

## ROBACZEK ŚWIĘTOJAŃSKI.

---

W wieczór cichy, pogodny, lecz parny, Marja Chudziowa, ukończywszy całodzienną robotę, siadła odpocząć w oknie razem z synkiem swoim, siedmioletnim Felusiem, jedyną swoją pociechą.

Niedawno jeszcze była bardzo szczęśliwa: miała męża, dobrego, pracowitego człowieka, który myślał o wszystkich potrzebach jej i dziecka, który otaczał ją i synka ich troskliwą opieką, a pracował od świtu do nocy, aby im na niczem nie brakło. I nie zbrakło im w istocie nigdy na niczem, nie znali ni chłodu, ni głodu, a ś. p. Chudziec nie tylko że zarabiał tyle, ile było potrzeba na utrzymanie trzech osób, lecz jeszcze zebrał sobie pewną sumkę pieniędzy, za którą kupił mały domek z ogródkiem, w którym żona jego mieszka obecnie. Wprawdzie suma przez niego uzbierana, okazała się do kupna domu niedostateczną, lecz przyszedł mu w pomoc dobry sąsiad jego i przyjaciel, pan Wincenty Nęcki.

Pożyczył on Chudziowemu 300 guldenów, które tenże obiecał spłacać częściowo po 25 guldenów półrocznie.

Splacał je też Chudziec regularnie, a po śmierci jego, gdyż pan Nęcki niedawno zmarł, synowi jego; tak przynajmniej z zadowoleniem opowiadał żonie. Byli przeto oboje bardzo szczęśliwi, bo i synek Feluś chował się im zdrowo i był dzieckiem dobrem i posłusznym.

Niedługo jednak to szczęście trwało.

We wsi wybuchł tyfus złośliwy i Chudziec rozchorował się ciężko. Ratowała Marja męża gorliwie, zwołała lekarzy, pilnowała go dniem i nocą przez kilka tygodni.

Nic jednak nie pomogły wszelkie starania, i biedny Chudziec, ciężko przechorowawszy trzy tygodnie, zmarł nieprzytomny na rękach żony.

Gorzko opłakała śmierć drogiego przyjaciela biedna kobieta; nie załamała jednak rąk z rozpaczyny bezczynności: miała syna, dla niego żyć i pracować musiała, aby nie poczuł zbyt boleśnie sieroctwa swego.

I pracowała od świtu do nocy pilnie, od świtu do nocy krzątała się to w domu, to w ogródku do niego przylegającym, to na łące, która do nich należała.

Dziś całe poobiedzie grabiła na niej siano, już ułożyła stóg spory, a teraz odpoczywa po ciężkiej pracy; obok niej siedzi Feluś i patrzą razem przez okno na niknące w dali słońce i na błądy księżyc, wysuwający się niewyraźnie z poza obłoków. Nie rozmawiają wesoło, bo ich sieroctwo jeszcze zaświeże; matka wspomina dziecku o ojcu, mówi o tem, jak dobrzeby im było, gdyby żył, i jak im smutno bez niego.

Lecz muszą pogodzić się z ciosem, jaki spadł na nich, z wolą Bożą, a dola ich przecież lepsza od wielu innych, gdyż przynajmniej biedy nie znają.

Posiedź tu sami chwilę — powiedziała — a ja pójdę przygotować wieczerzę.

Tymczasem słońce już zgasło, księżyc wypląnął śmiało na niebo i srebrnym blaskiem oświecił ogródek; noc się zbliżała...

Marja wstała i poszła do lochu, by przynieść kwaśnego mleka na kolację; Feluś pozostał przy oknie.

Napełniwszy miskę mlekiem, Marja już wracała z lochu, który w ogródku się znajdował, gdy wtem jakiś mężczyzna zastąpił jej drogę.

— Dobry wieczór pani — rzekł.

Po głosie wdowa poznała, że to sąsiad, syn nieboszczyka pana Wincentego, tego, który niegdyś pożyczył jej mężowi owe pieniądze; więc na powitanie uprzejmie odpowiedziała:

— Dobry wieczór — czy pan nas odwiedzić przyszedł, czy z interesem?

— Z interesem — rzekł sucho sąsiad — przyszedłem się przypomnieć pamięci pani: ojciec mój pożyczył wam przed trzema laty 300 guldenów; umierając, powiedział mi o tem, czy pani wie?

— Pamiętam o tem dobrze, ale spłaciliśmy już nieboszczykowi ojcu pańskiemu i panu samemu 250 guldenów, resztę niebawem spłacę; bądź pan cierpliwy.

— Spłaciliście 250 guldenów? — tonem zdziwienia rzekł Wincenty, gdyż miał toż samo imię, co ojciec jego, — a masz pani dowody na to? Ja nic o tem nie wiem!

— Czy mam dowody, tego pewną nie jestem — odparła Marja tonem spokojnym, — lecz wiem, ile już od-

daliśmy; mój mąż mówił mi o tem za każdym razem, gdy płacił ratę ojcu pańskiemu.

Wincenty rozśmiał się nieprzyjemnie.

— Może pani mówił—rzekł,—lecz ja o tem nic nie wiem i żadnych pieniędzy nie widziałem. Chciałem właśnie pani powiedzieć, że jeżeli pani nie oddasz mi całego tego długu w przeciągu półrocza, wniosę skargę do sądu i wytoczę pani proces o całą należność. Mam wasz rewers!

— Pan tego nie uczynisz, to byłoby nieuczciwie — szepnęła drżącymi ustami, — ja mogłam dowód zgubić, a mąż mój oddał 250 guldenów z pewnością.

— Gdyby oddał, nie upominałbym się—odparł z dumą pan Wincenty, — a byłbym może jeszcze poczekał; lecz skoro za moją cierpliwość nieuczciwym nazwany zostałem, zaraz jutro zaniosę skargę do sądu.

To powiedziawszy, skłonił się i odszedł. Marja powiodła za nim wzrokiem przestraszonym.

— On może żartował — szepnęła i wolnym krokiem skierowała się ku domowi. Weszła do izby, postawiła miskę na stole i ukrajała dwa kawałki chleba.

— Felciu, przyniosłam ci mleka — rzekła.

Felcio przybiegł do stołu i począł zajadać z apetytem, a ona siadła w oknie smutna i zgnębiona.

— Czemu mama nie je? — spytał chłopczyk.

— Bo nie chce mi się jeść.

Feliś uwierzył, zjadł sam mleko, a podziękowawszy matce za smaczną kolację, wkrótce poszedł spać.

Od tego dnia spokój uleciał z serca Marji; do tęsknoty za mężem dołączyła się trwoga o jutro, gdyż biedaczka próżno szukała w szufladzie stolika, w kuferku



i wszędzie, gdzie tylko mogła, papierów świadczących, iż nieboszczyk oddał już te 250 guldenów; nie było ich nigdzie.

Bała się strasznie tego człowieka i bała się nienapróżno, bo rzeczywiście po kilku dniach otrzymała wezwanie do sądu.

Pan Wincenty zaskarżył ją.

Sędzia rozpatrzywszy sprawę, a nie mając dowodu zapłaty, przyznał rację panu Wincentemu.

Biedna wdowa przegrała sprawę.

Nie wiedząc jak sobie radzić, postanowiła jeszcze kołatać do serca p. Wincentego, prosić go o zwłokę, o litość nad nią i nad jej biednym sierotą, i zaraz nazajutrz po otrzymaniu wyroku, wzięwszy Felusia z sobą, poszła do sąsiada.

— Feluniu—rzekła w drodze do syna—ten pan, do którego idziemy, chce nam zabrać nasz ładny domek i nas z niego usunąć. Idę go prosić, by tego nie robił; pros i ty również.

— Dobrze, mateczko — odpowiedział Feluś.

Wszedłszy do mieszkania pana Wincentego, wdowa zaczęła go błagać, by ich nie krzywdził, by miał litość nad nią i jej sierotą; ona może jeszcze znajdzie dowody zapłacenia, niech tylko poczeka.

Feluś zaś ukląkł, złożył ręczki jak do pacierza i powtarzał:

— Mój dobry panie, nie zabieraj nam domku!

Lecz pan Wincenty rozgniewał się.

— Nie nudźcie mnie—rzekł—idźcie precz, bo was każę za drzwi wyrzucić, nie chciałaś mi oddać pani pieńędzy, nazwałaś mnie nieuczciwym, ja sobie poradzi-

łem: wyrok otrzymałem; jutro dom pani na sprzedaż wystawiony zostanie.

Głośne łkanie wyrwało się z piersi nieszczęśliwej kobiety, nie próbowała wszakże dłużej prosić nielitościwego człowieka, wstała, wzięła Felusia za rękę i wyszła.

Wróciwszy do domu, siadła w oknie i rozglądając się po swem małym gospodarstwie, płakała cicho. Feluś stanąwszy przy niej, smutnymi oczami patrzył na nią; lecz jakby go nie widziała.

— Mój Boże!—mówiła sama do siebie półgłosem— a więc po raz ostatni podlewałam te kwiatki, ostatni raz kosiłam to siano, którego zapach dolatuje nas tutaj, ostatni raz doiłam naszą krówkę, konika naszego poiłam, to wszystko obcy człowiek zabierze! Jutro nas tutaj o tej porze nie będzie, a gdzie będziemy, co zrobimy z sobą, czy ja wiem?

Łkanie nanowo wyrwało się z jej piersi, ukryła twarz w dłoniach i płakała na cały głos.

Czarne oczy Felusia napełniły się także łzami, nie rozplakał się jednak, wstał, położył małą swą rączkę na ramieniu matki i szepnął cichutko:

— Czybyś już zapomniała, mamuniu, co ojciec powiedział, gdy leżał błądny na łożku?

«Gdy umrę, nie płaczcie, Pan Bóg jest ojcem wdów i sierot, proście Go w każdej potrzebie. On wam pomoże.»

Poprośmy Go, On pewno nas wysłucha, nie wypędzi nas, jak ten brzydki pan, bo Pan Bóg jest dobry, jest lepszy od wszystkich ludzi. Pan Bóg da ci, mamuniu, pieniędzy, bo ich ma bardzo dużo, do Niego prze-

cież należy ten srebrny księżyc, Jego są te złote gwiazdki, które tam w górze nad nami świecą; nie płacz, mammo, zobaczysz, że będziesz miała pieniądze i zapłacisz za ten dom. Pomódlmy się, mamusiu, a Pan Bóg nas wysłucha.

— Masz słuszość, dziecię, pomódlmy się, modlitwa to najskuteczniejsza pociecha w zmartwieniu—rzekła Marja, całując syna w głowę.

I uknęła w oknie, złożyła ręce i wzrok pełen łez w niebo podniosła, Feluś to samo uczynił.

Modlili się szczerze, serdecznie, a błąd księżyc srebrnym swym blaskiem oblewał jasną główkę Felusia i szczupłą postać jego matki.

Wtem chłopiec zerwał się z kolan, oczy mu pały, twarzyczka śmiała się.

— Mamo! patrz, patrz—krzyknął—tam leci ku nam gwiazdka jasna, świecąca, to pewno Pan Bóg przysłała ją dla ciebie, byś miała czem zapłacić tego niedobrego człowieka. I palcem wskazywał w dal.—Jaka śliczna—wołał, — mammo schwyć ją!...

Marja podniosła się także i skierowała wzrok we wskazanym kierunku.

— To nie gwiazdka, Feluniu, to świętojański robaczek — odparła, gładząc złotą główkę syna, — w dzień stworzonko to nie jest wcale ładne, nie spojrzalbyś nawet na nie; jest ono ciemnobrunatnego koloru i ma niewielkie plamki na grzbiecie, ale te plamki mają dziwną własność: w czasie nocy letnich, zwłaszcza koło św. Jana, świecą one pięknym blaskiem.

— A czy mogę go schwytać, mamusiu? — zapytał Feluś, — czy on mi nie zrobi co złego, nie sparzy mnie?

— Nie sparzy cię, bądź spokojny — odparła Marja, — możesz go złapać.

Feluś zapomniał o swem zmartwieniu. Wyskoczył przez okno do ogródka i począł uganiać się za świętojańskim robaczkiem. Już, już miał go dosięgnąć, gdy stworzonko wystraszone schroniło się do pokoju, w którym przed chwilą Feluś z matką siedział; chłopczyk wbiegł za nim, ale robaczek schował się pod stół, a gdy i tu spokoju nie znalazł, uciekł pod szafę, stojącą w kącie pokoju.

Nie zraziło to chłopczyka, położył się na ziemi i wzrokiem szukał robaczka pod szafą.

— Jest! jest! — zawołał po chwili z tryumfem — świeci tak pięknie i jasno pod szafą, jakby malutki księżyc! mamuniu, mamunieczko, pomóż mi go dostać, odsuń trochę szafę.

To mówiąc, podniósł się i zwrócił proszące spojrzenie na matkę.

Marja, lubo była przygnębiona, zbliżyła się do szafy i chcąc dziecku dogodzić, odsunęła ją.

Wtem coś z hałasem spadło na ziemię. Feluś wszakże na to nie uważał, był zajęty robaczkiem.

Schwycił go nareszcie, zaniósł na stół i przykrył szklanką, by mu nie uciekł; zachwycał się nim.

— Brylancik mój, królewicz — mówił, — jaki ty cudowny, jaki wspaniały!

Matka zaciekawiona tem, co też z szafy spadło, schyliła się i podniosła stary kalendarz męża. Wypadły z niego kartki na podłogę, a gdy je powoli zbierała i przyglądała się każdej, nagle krzyknęła:

— Feluniu! Feluniu! a w głosie jej brzmiała taka radość, że chłopczyk porzucił robaczka i przybiegł do niej.

Wdowa stała jeszcze przy odsuniętej od ściany szafie, wzrok jej jaśniał radością, usta śmiały się szczęściem, w rękę trzymała podarty kalendarz i kartkę.

— Co takiego, mamó? — spytał chłopczyk, patrząc na nią zdziwiony.

— Pan Bóg nas wysłuchał, drogie dziecię — zawołała biorąc syna w objęcia i całując go w czoło, ten okrutny człowiek nie zabierze już nam domu naszego, będziemy w nim dalej mieszkać, nie wypędzą nas z niego!

— Czy Pan Bóg przysłał ci pieniądze? — zapytał Feluś.

— Tu w tej książce znalazłam więcej niż pieniądze — odparła Marja, — znalazłam dowód, że twój ojciec prawdę mi mówił, że był uczciwym człowiekiem, że oddawał, co pożyczył, żeśmy już bardzo niewiele winni panu Wincentemu. Ten kalendarz wsunął się za szafę i spadł, gdy ci ją odsuwałam. W nim schowane było pokwitowanie, którego tak szukałam! O Boże, dzięki Ci!

Feluś uściskał matkę.

— To ten robaczek to wszystko zrobił — rzekł. — Prosiłem cię, mamó, żebyś szafę odsunęła i znalazłaś kalendarz, a w nim papier, którego tak wszędzie szukałaś.

— Tak, w istocie, Bóg za pomocą robaczka pomógł nam i pocieszył, dziękujemy Mu za tę łaskę.

To mówiąc, Marja uknęła, obok niej Feluś i znowu podnieśli wzrok w niebo, lecz teraz spojrzenia ich nie smutek, ale wdzięczność i szczęście wyrażały.

Po bezsennej z radości nocy, Marja nazajutrz rano udała się do sądu i złożyła kwity z podpisami starego i młodego Nęckiego, świadczące, że mąż jej jak najregularniej uiszczal się z długu, że oskarżenie syna nieboszczyka było niesłusznem. Prosiła zarazem o odwołanie wyroku.

Gdy biedna wdowa całą historję o świętojańskim robaczku opowiedziała sędziemu, ten wstrząsnął głową i rzekł poważnie:

— Wyraźny palec Boży!

Powołano do sądu oskarżyciela i pokazano mu kwity; zmieszał się bardzo, zobaczywszy je i przeprosił Marję za niesłuszne posądzenie, a chcąc wynagrodzić jej dni niepokoju i łzy, jakie przez niego najniewinniej wylała, oświadczył, iż zrzeka się ostatnich dwóch rat, jakie mu się w istocie jeszcze należały i wydał jej kwit, iż nie jest mu nic więcej winna.

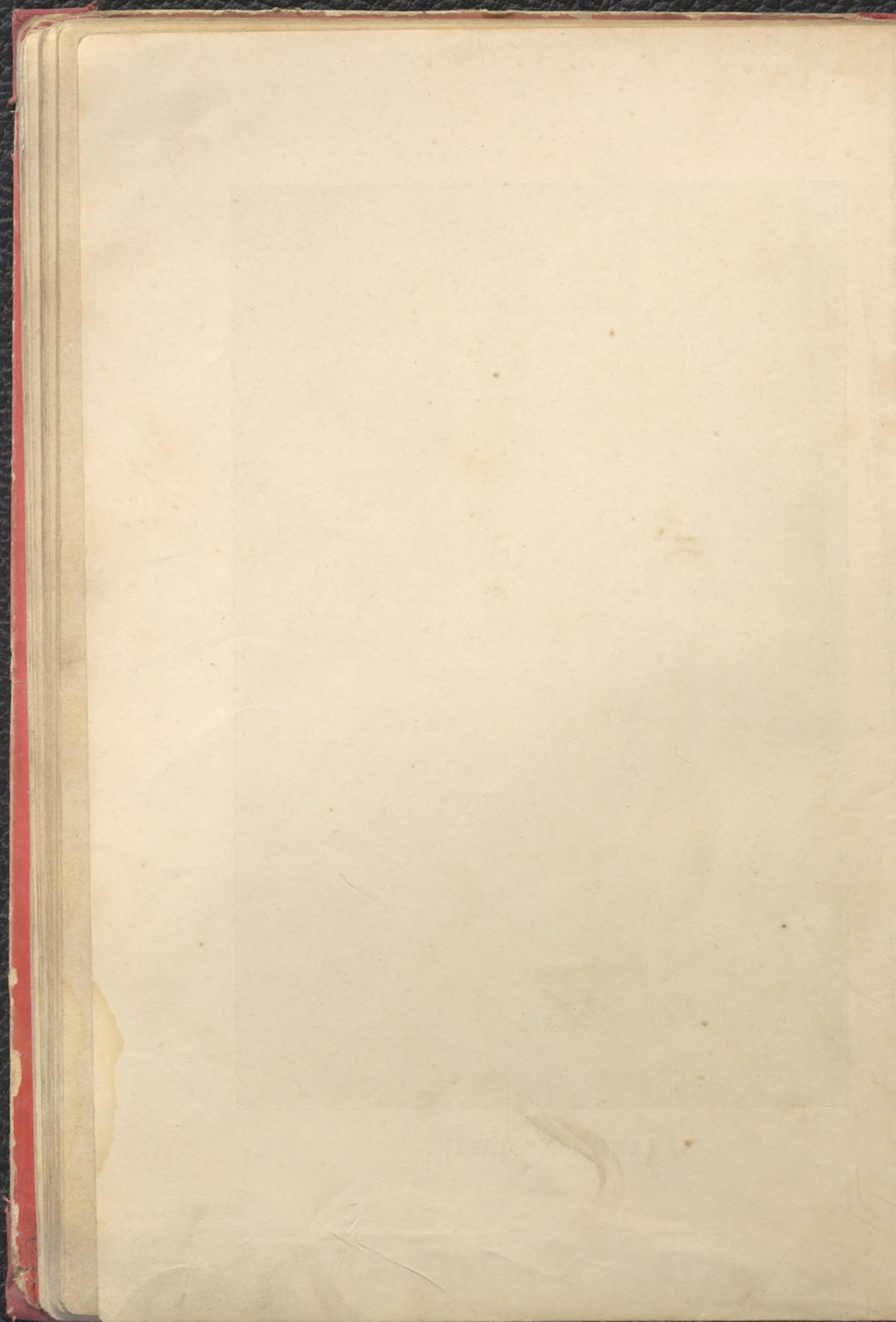
Spokój powrócił do domku wdowy. Znowu pracowała od świtu do późnego wieczora dla siebie i syna, a gdy po wieczerzy siadali razem w oknie, to ulubionym przedmiotem ich rozmowy był schwytyany przez Felusia świętojański robaczek, którego w nagrodę chłopczyk obdarzył wówczas swobodą, boć on przecie razem z nim przyczynił się do odnalezienia tak poszukiwanych papierów.

— Różnemi drogami Bóg pociesza tych, co Mu ufają — mówiła często Marja do syna — ufajmy Mu, a nie opuści nas.

---



JAZDA NA LWIE.





## JAZDA NA LWIE.

---

— Dzieci, dzieci! Wuj Wiktor przyjechał, chodźcie czempredzej, powitajcie kochanego wujaszka!

Tak wołała mama na troje dzieci, zajętych zabawą w dziecinnym pokoju.

Dzieci, usłyszawszy to, zaczęły z radości klaskać w ręce i biegły na wyścigi, aby jak najprędzej rzucić się na szyję oczekiwanemu wujaszкови.

Najbardziej ze wszystkich uradowała się dziesięcioletnia Zońcia, która lepiej od reszty rodzeństwa pamiętała wujaszka, bo Władzio i Józia jeszcze były maleńkie i nie umiały nawet dobrze mówić wtedy, kiedy wuj Wiktor wyjechał z Europy; ucieszyły się jednakże i śpieszyły go zobaczyć. Zońcia, rzecz naturalna, wyprzedziła ich i pierwsza uściskała kochanego wujcia, potem wujaszek zwrócił się do Władzia i Józi, wziął oboje na kolana, każde ucałował kilkakrotnie i zaczął ich wypytować, jakie mają zabawki; przyrzekł im też pokazać jedną dużą zabawkę, którą z sobą przywiózł.

Wkrótce wrócił z biura tatko tych dzieci, powitał z radością brata żony, a że to była godzina obiadowa,

usiedli więc wszyscy do stołu i jedząc, gawędzili wesoło. Mama i tatko zaczęli wypytywać wuja o wszystko co w świecie widział, a wujaszek miał do opowiadania dużo różnych ciekawych rzeczy o obyczajach mieszkańców Afryki i mnóstwo zajmujących przygód z wypraw swoich myśliwskich na żyjące tam zwierzęta drapieżne.

Dzieci słuchały z wielkiem zajęciem, a szczególnie Zońcia; oczy jej aż błyszczały z przerażenia, gdy wuj począł opowiadać, jak pewnego razu należał do towarzystwa myśliwych, którzy wybrali się na polowanie na lwy i jak drapieżne te zwierzęta rzuciły się na dwóch jego towarzyszków i w mgnieniu oka rozszarpały nieszczęśliwych. Jego życiu groziło także niebezpieczeństwo, lecz miał bardzo rączego konia, który go uniósł i ocalił. Dzieci wielce się ucieszyły, że wuj powrócił zdrów i że drapieżne lwy nie rozszarpały go.

Po obiedzie wujaszek wyszedł na chwilę do drugiego pokoju i kazał wnieść za sobą dużą jakąś paczkę, którą zostawił w przedpokoju; wkrótce powrócił.

— Idźcie dzieci do pokoju ojca — rzekł do nich — czeka tam na was pewna piękna zabawka!

— Pewno wujcio przywiózł co ładnego — mówiła Zońcia do Władzia i Józia — chodźmy zobaczyć.

Naraz rodzice usłyszeli w gabinecie krzyk przerażający: wystraszeni zerwali się z krzesel i przybiegli.

— Cóż się wam stało? Czego tak krzyczycie? — zapytała mama, wszedłszy pierwsza do pokoju męża.

Zońcia, Władzio i Józia skupieni wszyscy troje, stali przytuleni do ściany, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca.

— Mamuniu, tutaj jest straszny lew — odparła Zoń-  
cia drżącym głosem i palcem wskazała na leżące zwierzę.

Tymczasem przyszedł i wujaszek zaniepokojony, czy  
dzieci jego figla się nie zlekły.

Mama rozśmiała się.

— Wyobraź sobie, Wiktorze, te niemądre dzieci  
zlekły się twojej lwiej skóry — rzekła do brata.

Wistocie przed sofą leżała duża lwia skóra z głową;  
wuj Wiktor przywiózł ją z podróży szwagrowi w po-  
darunku. Dzieci nigdy nie widziały lwa żywego, lecz  
tylko malowanego. Mając jeszcze główki pełne opowia-  
dań o tych dzikich zwierzętach, które pożerają ludzi,  
pewne były, że zobaczyły lwa żywego i że ten rzuci  
się na nie, by je zjeść; zlekły się więc bardzo i krzy-  
czeć poczęły.

Wujaszek uśmiechnął się i powiedział:

— Jakoś ten lew leży spokojnie i nie rusza się do  
was, niech mu się Zonia bliżej przypatrzy.

Lecz gdy spojrział na Zoncię, żal mu się dziewczyn-  
ki zrobiło, biedaczka miała minę bardzo zawstydzoną,  
że popełniła taką pomyłkę i wzięła skórę za lwa ży-  
wego.

— Bądźcie spokojne — rzekł do młodszych dzieci —  
ten lew nic złego wam nie zrobi, już jest nieżywy,  
a to jest tylko jego skóra. Ja sam go na polowaniu za-  
biłem. Zresztą lew jest straszny wtedy tylko, gdy go  
kto podrażni, lub gdy jest głodny; kiedy jest syty i nie-  
podrażniony, nie zaczepia nikogo; pod tym względem  
jest to jedno z najszlachetniejszych zwierząt, a na do-  
wód opowiem wam ciekawe zdarzenie z mojej podróży.

— Opowiedz, opowiedz wujciu! — zawołali jednocześnie Zonia i Władzio.

Wujaszek usiadł na sofie, nogi oparł na lwiej skórze, a dzieci z pewną bojaźnią posiadały obok niego na lwim dywanie; rodzice także się przysłuchiwali.

— Pewnego dnia — zaczął opowiadać wujaszek — wybrałem się sam na daleką przechadzkę, ale ze strzelbą na ramieniu. Nagle spostrzegłem lwicę, która widocznie i mnie zobaczyła, bo szybko ku mnie biegła. Byłem pewny, że zginę. Zapóźno spostrzegłem grożące mi niebezpieczeństwo, o ucieczce nie można było myśleć, ani o użyciu strzelby, tem więcej, że w pośpiechu mogłem chybić, a zwierz rozdrażniony rzuciłby się na mnie najniezawodniej i rozszarpałby odrazu. Zatrzymałem się przeto i zdawszy się Bogu w opiekę, postanowiłem czekać... Lecz wyobraźcie sobie moje zdziwienie: lwica, dobiegłszy do mnie, położyła się u nóg moich i żałośnie mrużąc, spoglądała na mnie błagalnie, jak gdyby mi mówiła:

— Zlituj się nade mną biedną, człowieku!

Patrzyłem na nią z przerażeniem i zauważyłem, że ciągle podnosiła głowę i zwracała wzrok na jedno z drzew w dali rosnących, tak, jakby tam coś upatrywała, przyczem nie przestawała ryczeć.

Skierowałem wzrok w tę samą stronę i ujrzałem na gałęzi drzewa małą, pawjana, która trzymała w swych kudłatych ramionach dwa małe lwiątko. Domyśliłem się teraz wszystkiego. Widocznie mała, korzystając z nieobecności lwicy, spostrzegła w jej gnieździe lwiątko i porwała je, unosząc z sobą na drzewo. Być może, że własne dzieci straciła, więc chciała przygarnąć cudze...

Lwica instynktem zwierzęcym trafiła na ślad swych dzieci, spostrzegła je w rękach pawjana, który z niemi na drzewo uciekł, lecz nie mogła dostać się na nie. Zobaczywszy mnie przypadkiem, wzywała mojej pomocy. Byłem oburzony na małpę, która ze swej bezpiecznej kryjówki zdawała się drwiąco spoglądać na rozpacz lwicy i postanowiłem dopomóc nieszczęśliwej matce. Lwica, widząc, że ją zrozumiałem, niespokojnie koło mnie chodziła i czekała, co zrobię. Miałem ostry toporek za pasem, dobyłem go i z całych sił począłem uderzać w pień palmy, na którym małpa siedziała. Po kilkakrotnem nacięciu palma zachwiała się i zaczęła upadać na ziemię, a z nią razem i małpa z lwiatkami. Lwica wydała ryk straszny, zerwała się, jednym skokiem znalazła się na miejscu powalonej palmy i chciała rzucić się na małpę, aby ją rozszarpać; lecz ta, widząc upadające z nią drzewo, porzuciła lwiatka na ziemię, a sama z przestachu zręcznie skoczyła na obok stojące drzewo i uciekła w górę przed pazurami lwicy.

Struchlałem; byłem pewny, że lwięta się pozabijały. Lwica, widząc, że jej małpa uciekła, podbiegła do leżących lwiatek, obejrzała troskliwie każde z kolei, polizała je i zobaczywszy, że się ruszają, zwróciła się do mnie.

Teraz pewno na mnie się rzuci—pomyślałem,—nie ma rady, trzeba umierać; serce kołatało mi jak młotem. Lecz i tym razem omyliłem się. Lwica podeszła ku mnie spokojnie, położyła się u moich nóg i łeb podniosła, następnie wstała, wydała ryk łagodny i spojrzała na mnie, jakby mi powiedzieć chciała:

— Dziękuję ci, dobry człowieku, za to, żeś mi dzieci ocalił.

Potem odeszła do swych lwiątek, oboje schwyciła za kark i poniosła w głąb lasu do swej kryjówki a raczej do swego legowiska, ciągle się na mnie oglądając.

Patrzyłem wzruszony na to wspaniałe zwierzę, które tak kochało swe dzieci i które umiało być wdzięczne za zrobioną przysługę. Myślałem też sobie: jaki to wstyd dla niektórych ludzi, co ani kochać prawdziwie, ani wdzięcznymi być nie potrafią; dzikie zwierzę jest nieraz od nich szlachetniejsze.

Wujaszek przerwał opowiadanie, a mama, spojrzawszy z uśmiechem na dzieci, spytała:

— Czy jeszcze będziecie się obawiały tego lwa?

Zońcia podniosła wzrok na matkę.

— Nawet żywego lwa nie bałabym się teraz — odparła, przecież wujcio powiada, że lew straszny wówczas tylko, gdy jest głodny, lub gdy go kto rozdrażni.

— Złękłabyś się, Zońciu, gdybyś go żywego zobaczyła — rzekł wuj Wiktor. — Lew posiada olbrzymią siłę, jednym uderzeniem łapy łamie krzyż koniowi, jednym zamachem ogona powala człowieka na ziemię, wołu bez trudu porywa i unosi, a ryk jego potężny rozlega się głośno i daleko. Gdy lew jest w gniewie, ryk ten jest krótki, przerywany, zdaje się wówczas, że słyszysz odgłos grzmotu.

— A czy lwy tylko w Afryce mieszkają? — spytała Zońcia.

— Spotkać je można także w niektórych krajach Azji.

— A czy wszystkie lwy tak kochają swoje dzieci, jak ta lwica, o której wujcio opowiadał? — zapytał Władzio.

— Wszystkie mają do swoich małych bardzo wiele przywiązania — odrzekł wujaszek, — w razie niebezpieczeństwa woła same zginać, byle ocalić swą dziatwę. Opowiadał mi pewien Francuz, mieszkający w Algierze, iż myśliwi, polując, znaleźli pewnego dnia lwie gniazdo, w którym znajdowało się dwoje małych lwiatek, postanowili przeto zabrać je żywcem. Ale w tej samej chwili nadbiegły lew i lwica. Ta ostatnia rzuciła się do lwiatek, a lew tak zacięcie stanął w obronie swej rodziny, że walczył do upadłego. Poległ w końcu, lecz podczas, gdy on opór stawiał i bronił przystępu do swego gniazda, lwica chwyciła dzieci i uszła z nimi.

Zońcia pochyliła się do lwiej skóry i pogłaskała wielką czworograniastą głowę wspaniałego zwierzęcia.

Odtąd dzieci często przybiegały do gabinetu ojca, zwłaszcza gdy go w domu nie było, by popatrzeć na podarek przez wuja przywieziony; przypominały sobie, co im o lwach opowiedział, głaskały z szacunkiem skórę zabitego zwierza, a czasami Zońcia wsiadała na nią jak na konia, Władzio klaskał biczkiem, a Józia sadowiła się obok Zońci i wołała:

— Wio! wio! lwie poczciwy, jedź do Afryki!

— Jazda na lwie do Afryki! — wołała Zońcia — poznamy tam murzynów, zobaczymy żywe lwy, tygrysy, słonie i wielbłądy, strusie i papugi, węże i krokodyle!

Dziewczynka już się uczyła geografji, wiedziała więc trochę, jacy ludzie zamieszkują Afrykę i jakie zwierzęta w niej żyją.

— Będziemy tam jedli świeże daktyle — mówiła, śmiejąc się, do brata i siostry — zobaczymy, jak rośnie trzcina cukrowa, jedź poczciwy lwie, do Afryki, jedź!



## MRÓZ MAŁY I DUŻY.

---

Przed kominkiem, na którym suty ogień płonął, siedział w fotelu zieloną skórą wybitym, dziadunio, siwy jak gołąb; duży biały wąs spadał mu na piersi, a na nich świecił złoty medal na czerwonej wstążce. Był to stary wojak, który w bitwie pod Lipskiem stracił prawą nogę i chodził o szczudle. Kalectwo to nie odbiło się jednakże na jego twarzy: czoło starca, choć poorane brózdami, było pogodne, oczy smutno na świat nie patrzyły; trzymał w ręku fajkę i puszczając kłęby dymu, zdawał się coś wspominać, bo od czasu do czasu wstrząsał głową i pogwizdywał jakąś wojenną piosenkę.

Z okien pokoju widać było śnieg padający grubymi płatami, kilka drzew rosnących przy chodniku, osypanych jakby białym puchem i kilka napuszonych wróbli, siedzących na tych drzewach. W pokoju, oprócz dziadunia, nikogo nie było.

Naraz zastukało coś w przedpokoju, drzwi się nagle otworzyły i wbiegło dwoje dzieci: chłopczyk i dziewczynka, oboje z tornistrami na plecach, w ciepłych futerkach i kamaszach, w czapeczkach barankowych, dziew-

czynka z mufką, chłopiec w ciepłych rękawiczkach, jednym słowem, były starannie od zimna okryte. Wbiegły i jednocześnie prawie zawołały:

— Dziaduniu, straszny mróz dzisiaj, tylko cośmy nie pomarzli!

Dziaduś uśmiechnął się.

— Jakże tam poszły lekcje? — zapytał — czy dobre stopnie w dzienniku?

Dzieci zbliżyły się do starca i ucałowały jego ręce, a chodząc szybko po pokoju, zaczęły się rozbierać; milczały jednak i nie odpowiadały na zapytanie.

— Ej, coś chyba niedobrze! — ciągnął dalej dziadunio, — pan Franciszek skrzywiony, jak gdyby octu się napił, panna Kazimiera, jakby jabłko kwaśne zjadła; któż tam dwójkę postawił, francuz, niemiec, czy matematyk? No, mówcie prawdę!

— O, przepraszam — odezwał się wreszcie Franuś, zacierając ręce — stopnie są dobre, ale taki straszny mróz na dworze, myśleliśmy, że nie dojdziemy do domu.

— Ja pewno ręce odmroziłam, palcami nawet ruszać nie mogę — dodała Kazia — jeżeli jutro będzie tak zimno, to nie pójdę na pensję.

— Jakie delikaciki! — rzekł dziaduś, — wstydźcie się, a toż zaledwie jest dziesięć stopni zimna, cóż to za mróz... śnać nie wiecie, co to zima czasem potrafi.

— Gdyby większy był, nie wytrzymałbym — odparł Franuś, trąc jeszcze ręce.

Dziadunio głową wstrząsnął.

— Ot, jesteście małe niedołęgi!

To powiedziawszy, lulkę do ust zbliżył i pociągnął w parę razy, kłęb dymu puścił.

W oczach Kazi łyzy zaświeciły.

— Dziadunio siedzi przy ogniu, to mu ciepło — rzekła z wymówką, — ale my bieglśmy już rano o ósmej taki kawał, z Chmielnej na Piękną, a teraz znowu stamtąd z powrotem, to można było odmrozić twarz i ręce.

— Nietylko ręce, lecz nogi i nos — dorzucił z zadasaną miną Franuś. — Dziaduniowi ciepło w pokoju, więc nam nie wierzy.

Dziadek popatrzył na nich ze współczuciem.

— Co wy wiecie o mrozie, moje dzieci, spytajcie tych, co byli pod Smoleńskiem w roku 1812, w mróz taki, że szyby pękały, że pnie drzew z hałasem trzaskały, że termometr 30 stopni wskazywał, cóż na to powiecie?

Dzieci patrzyły zdumione na dziadunia, o takim mrozie jeszcze nie słyssały.

— Niechże nam dziadunio o tem opowie, to pewno wtedy wszyscy ludzie na śmierć pomarзли.

— A widzicie! Jednakże tysiące ludzi brnęło wtedy po kolana w śniegu, o głodzie i chłodzie, maszerując cały dzień.

— Głodno i chłodno, to były ładne przysmaki! — rzekł Franuś.

— To też dla nich dziesięć stopni zimna to był żart, mosanie... — rzekł dziadunio. — Złóżcie wasze rzeczy na miejsce, a gdy się ogrzejecie, to wróćcie do mnie, może wam opowiem coś ciekawego; mamy czas, jeszcze godzina do obiadu, pogawędzimy przy kominku.

— Już nam ciepło, kochany dziaduniu, a zresztą tutaj prędko się rozgrzejemy.

— Dobrze; chcę wam powiedzieć, że często przykrości, których doznajemy, wydają się nam wielkimi, lecz maleją w oczach naszych, gdy o innych posłyszemy.

Dzieci przysunęły sobie krzesła i siadły z obu stron dziadka, on fajkę odstawił w ką, przygarnął wnuków bliżej do siebie, poczem tak począł mówić:

— Dawno to już temu, bardzo dawno, miałem wówczas lat dwadzieścia pięć, także same błękitne oczy, jak Kazia, i takie czarne włosy, jak Franuś; nosiłem mundur wojska francuskiego, służyłem bowiem pod rozkazami cesarza Francuzów, Napoleona Pierwszego.

Było to roku 1812; jenerał nasz otrzymał rozkaz, by śpieszył pod Smoleńsk, a korpus nasz znajdował się wówczas w Warszawie; czekała nas podróż nielada i to piechotą, służyłem bowiem w piechocie, a kolei żelaznych wówczas jeszcze nie było. Zima była tego roku bardzo sroga, 30 stopni zimna, to była rzecz zwykła; szliśmy jednak odważnie, jeden drugiemu dodawał otuchy. Gdyśmy znaleźli jaką wioskę, to zatrzymywaliśmy się w niej, aby posilić się i spocząć. Poczciwi ludziska nie żalowali nam ani chleba, ni kąta u siebie, zapraszali nas gościnnie do chat, a my chętnie zasiadaliśmy przed płonącym na kominie ogniem i posilaliśmy się ciepłą strawą, jaką przed nami stawiali. Często zdarzało się wszakże, iż przez cały dzień nie spotkaliśmy ani jednego domostwa; wówczas kawał suchara i kieliszek gorzałki stanowiły jedyny nasz posiłek; czasami i na noc nie mogliśmy trafić do wioski, a zmęczenie iść dalej nie pozwalało; wtedy radzi nieradzi owijaliśmy się w płaszcz i kładliśmy się spać na śniegu, podłożywszy tor-

nistry pod głowy. Gdy drzewo gdzie w pobliżu rośło, tośmy je ścinali i rozniecali sobie ogień; lecz niezawsze dało się to zrobić, bo czasem natrafialiśmy na taką pustynię, iż gdzie okiem sięgnąć, to widać było tylko pole śniegiem zasłane i nic więcej.

— I dziaduś tak sypiał? — spytał Franuś ze współczuciem.

— A to się rozumie; w wojsku równość panuje, wszystkich jednakowo traktują, dla wszystkich jednakie prawa; czy Maciek, czy pan Jan, jeśli żołnierz, niema różnicy. Zdarzało się, że niejeden, usnąwszy, nie podniósł się więcej z tej chłodnej pościeli; wtedy rankiem towarzysze grób mu wykopali, mogiłę usypali i szliśmy dalej. Większość, pokrzepiwszy się snem, budziła się znowu i stawała wesoło do marszu.

Kazia westchnęła.

— Biedny dziaduś; nie chciałabym być żołnierzem — rzekła.

— A ja nie żałuję, że nim byłem — odparł stary wojak — chętnie zawsze te czasy wspominam: człek był młody, wówczas żył, kochał i był pożyteczny, a teraz co? fotel, lulka i kominek...

To powiedziawszy, dziadzio zadumał się.

— Ha, co robić — dodał po chwili, — darmo się przecież nie żyło. Słuchajcie tedy.

Tu chrząknął, pogładził białą głowę i przyciągnąwszy Franka do siebie, począł nanowo opowiadać:

— Pewnego ranka, gdy maszerujemy w porządku, a trębacze dla dodania nam ochoty przygrywiają marsza, spostrzegłem, że mój towarzysz i druż serdeczny, Jakób Majewski, coś się chwieje, blednie, słania.

— Co tobie? — pytam go.

— Słabo mi trochę — odpowiedział — ale to przejdzie.

— Wesprzyj się na mojem ramieniu — rzekłem.

Posłuchał mej rady, oparł się, poszliśmy razem, lecz zaledwie kilka kroków zrobiłem, czuję, że mój towarzysz coraz mi bardziej cięży i zwiesza się.

— Żle z nim — myślę — co tu robić?

Szcześnie, generał dał znak, by się zatrzymać na odpoczynek, więc położyłem biedaka na śniegu, podłożyłem mu tornister pod głowę, dobyłem manierki i dałem mu się trochę napić. To go orzeźwiło, dźwignął się, podziękował i siadł na śniegu.

Tymczasem inni rozbiegli się po okolicy, naznosili chróstu, ułożyli wielki stos i rozniecili ogień; buchnął płomień, przysunęliśmy się wszyscy do niego i Jakób z nami; blada jego twarz nabrała rumieńców, oczy zgasłe błysnęły życiem. W serce me wstąpiła nadzieja, że ruszy w pochód żwawo... Po półgodzinnym spoczynku generał dał znak do marszu; porwaliśmy się wszyscy na nogi, dźwignął się także i Jakób, oparty na mojem ramieniu, lecz zaledwie parę kroków zrobił, znowu ustał.

— Żle — pomyślałem — nie nie będzie z tego marszu i oddałem Jakóba jednemu z kolegów, a sam pobiegłem do generała, pokłoniłem mu się i rzekłem:

— Jenerale, jeden żołnierz nie może iść, jest słaby.

— To go zostawić na drodze! dla jednego całego korpusu nie zatrzymam — odparł wódz krótko.

— Gdy sam zostanie, marnie zginie — ośmieliłem się rzec — mógłby się jeszcze przydać.

— Być może, lecz już powiedziałem, że się nie zatrzymam.

— A gdyby mi pan generał pozwolił z nim zostać? — spytałem.

Jenerał spojrział na mnie, potem obiegł wzrokiem rozległe pole.

— Chcesz zostać sam z chorym, w tej pustyni, ważysz się na to?

— Ważę — odparłem.

— Czy to twój przyjaciel? — zapytał.

— Serdeczny — rzekłem.

— Wiernego ma on przyjaciela — powiedział — możesz zostać.

Wojsko ruszyło, a ja wróciłem do Jakóba, który siedł na śniegu; ukląknęłam przy nim.

— Bardzo ci źle? — spytałem.

— Czemu nie idziesz z innymi? — odparł mi szorstko.

— Jenerał kazał mi zostać przy tobie — rzekłem

Brzydę się całe życie kłamstwem, lecz tym razem, by go uspokoić, musiałem uciec się do podstępu.

Popatrzył na mnie podejrzliwie, potem coś mruknął, lecz widziałem, że był rad z odpowiedzi. Namówiłem go, by się podniósł, wsparł na mnie i próbował iść.

Dowiedziałem się właśnie od jednego towarzysza, który znał te strony, że niedaleko, na prawo od nas jest mała wioska. Tam kroki skierowałem. Jakób dzwignął się z wysiłkiem, wsparł na mnie i ruszyliśmy, lecz niedługo szepnął mi:

— Muszę odpocząć.

Stanąłem i rozejrzałem się wokoło; głucha, pusta, biała równina otaczała nas, nigdzie domostwa, nigdzie

drzewa, szare tylko nad nami obłoki, a niżej czarne kruki, kraczące złowrogo.

Tymczasem, gdy tak stoimy, nogi tężeją, krew krzepnie, mój przyjaciel na wpół omdlały zwiśł mi na ramieniu.

Nie było rady, trzeba go było znowu na śniegu położyć, podsunąłem mu znowu tornister pod głowę, zdjąłem swój płaszcz z ramion i okryłem go, a sam poszedłem szukać chaty.

Ide, ide, koło mnie ciągnęła pustka, a mróz wzmaga się, szczypie i przypomina mi, że nie mam na sobie płaszcza; próżno biję rękami o siebie, tupię nogami, coraz mi zimniej... Na dobitkę zerwał się wichur gwałtowny, zajęczał żałośnie, podniósł całe tumany śniegu i miotał mi nim w twarz; białe płatki, ścięte lodem, kłóły mnie jak szpilki w policzki, oczy, czoło, ręce. Nie straciłem jednak odwagi, wciąż szedłem dalej. Bóg umiłowiał się nad nami: coś błysnęło w dali, patrzę pilnie, czy to nie ślepie wilka; przekonywam się, czy mam karabin nabity. Na szczęście było to niepotrzebne, światełka pochodziły z chaty wieśniaczej; więc spotkam wreszcie ludzi! Chwała Ci Panie!

Przyśpieszyłem kroku i zakołatałem do drzwi chaty, mieszkali w niej jacyś poczciwi ludziska, otworzyli mi zaraz.

— Czego chcecie, panie żołnierzu? — zapytała poważna niewiasta.

Za nią wysunął się z głębi izby wyrostek piętnastoletni.

— Pomocy dla chorego — odparłem.



— A gdzież on? — oboje tym razem jednocześnie się odezwali.

— Leży w polu, na śniegu.

— Prowadźcie nas czemprowadź do niego, we troje przyniesiemy go do chaty. Toć on tam zmarznie!

Poszedłem naprzód, oni za mną. Z wielkiego pośpiechu zapomniałem, że nie mam płaszcza na sobie i o nic cieplejszego nie poprosiłem; mróz mi to zaraz przypomniał, lecz nie chciałem wracać do chaty, śpieszyłem do Jakóba, lękałem się, by nie zmarzł; biegłem raczej, niż szedłem; nareszcie ujrzałem go, przypadam doń, kłękam i mówię:

— Ciesz się, Kubuś, jesteście ocaleni, będziesz mógł w chacie odpocząć.—A on ani drgnie, leży zimny, bładny, z zamkniętymi oczami.

— Zmarzł i umarł — krzyknąłem z rozpaczą.

— Nie traćcie nadziei — odezwał się przy mnie głos łagodny, niewieści — może powrócimy mu jeszcze życie, skoro usnął niedawno.

Z temi słowy dobra wieśniaczka ukłękła przy Jakóbie i nabrawszy pełną dłoń śniegu, poczęła mu nacierać pulsa; wyrostek poszedł za jej przykładem, a ja za nimi.

Pomoc okazała się skuteczną, Jakób otworzył oczy, lecz nie mógł się ruszyć, podjęliśmy go przeto i we troje zanieśliśmy na płaszczu do chaty.

Pocziwa kobieta odstąpiła choremu własne łóżko, napoiła go gorącym mlekiem, przykryła ciepło i spać nakazała.

— A dziadzio się nie przeziębził? — zapytała wnuczka.

— Chwała Bogu, nie! Całe trzy tygodnie spędziliśmy u tych dobrych ludzi, bo Jakób nie mógł prędzej

opuścić ich chaty; dziesięć dni leżał chory na jakąś gorączkę, a drugie dziesięć dni odzyskiwał siły. Matka i syn wyprzedzali się w usługach i pielęgnowali nas serdecznie. Nareszcie pożegnaliśmy ich. Chciałem zapłacić im za trudy, ale nie przyjęli.

— Wy, panowie wojacy, dla wszystkich się poświęcacie — rzekła mi matka, — więc i my spełniliśmy tylko nasz obowiązek.

Jakże byłem szczęśliwy, gdy odnalazłszy nasz korpus, stanąłem z Jakóbem przed generałem.

— Odprawiam zbiega — rzekłem wesoło, niski ukłon składając wodzowi; — chciał nam rejterować na tamten świat, lecz go nie puściłem.

— Za ocalenie człowieka należy ci się nagroda, — rzekł wesoło generał i odpiąwszy ten oto medalik — tu dziadunio wskazał na swą pierś — przypiął mi go. Pamiętajcie, wnuki, żeby mnie i do trumny w tę gwiazdkę ustroić — dodał głosem wzruszonym.

Franuś pochylił się do ręki starca i ucałował ją z szacunkiem.

— Wstydzę się teraz, żem się skarżył na zimno — rzekł.

— Czy nie słusznie mówiłem, że małe przykrości wydają nam się wielkimi, lecz maleją w oczach naszych, gdy posłyszemy o większych?

— Prawda, dziadunio — zawołała Kazia. — Dziękujemy ci za to śliczne opowiadanie.

Oplotła rączki koło szyi dziadunia i ucałowała go czule.

---

## ZAPÓŹNO.

---

— Luciu, moja droga, moja złota, przebacz mi, przecież nie zrobiłem tego naumyślnie, lecz przypadkiem, nie widziałem, że się nachyliłaś, no, nie gniewaj się już na mnie!

— Idź sobie, zawsze wymachujesz tak nieuważnie tym swoim batem, uderzyłeś mnie, a mogłeś mi oko wybić i byłabym niewidomą! O Boże, jak mnie to boli, ach, jak boli!...

— Moja Luciu, już nigdy tego więcej nie zrobię.

— Zawsze to samo mówisz.

— Przebacz mi, moja najdroższa, ten raz jeszcze tylko mi przebacz, przekonasz się, że odtąd będę zawsze uważny.

— Nie przebaczę!

— Ja cię tak proszę, tak bardzo proszę...

— A ja stanowczo powiadam, że ci nie przebaczę i... daj mi spokój!

Te słowa zamieniali żywo z sobą brat i siostra, zasłaniająca rączką twarz zarumienioną, na której widoczna była czerwona pręga.

Działo się to w ogrodzie, w pobliżu wielkiego krzewu bzu, który swym cieniem osłaniał kamienną ławkę.

Gdy dziewczynka wymawiała ostatnie wyrazy, z poza krzewu wysunęła się ślicznej urody kobieta, w ciemnej sukni, smukła, poważna, ze smętnym wyrazem twarzy, zbliżyła się cicho do płaczącej i położywszy rękę na jej ramieniu, rzekła łagodnie:

— Czy dobrze słyszałam, Luciu, ty nie chcesz przebaczyć Adasiowi?

— Spójrz, ciociu, co on mi zrobił — odparła Lucia i odstąpiła policzek.

— Widzę, lecz powinnaś mu przebaczyć — rzekła ciocia.

Adaś, słysząc, że ciocia popiera jego sprawę, przysunął się do siostry, chciał ją pocałować, lecz Lucia odepchnęła go szorstko.

— Idź ode mnie — rzekła, — nie kocham cię.

Ciocia westchnęła, usiadła obok dziewczynki, chwilę patrzyła na nią ze smutkiem, poczem odezwała się poważnym głosem:

— Moja Luciu, nie bądź tak srogą i pogódź się z braciuzkiem, i ja pewnego razu, gdy byłam tak małą dziewczynką, jak ty dzisiaj, również nie chciałam przebaczyć komuś, który mnie o to bardzo prosił; potem pragnęłam tego szczerze i byłabym bardzo szczęśliwą, gdybym mogła być temu samemu powiedzieć: «Przebaczam», lecz już było zapóźno!...

Przy ostatnich słowach łzy zaświeciły w oczach ciotki, opuściła powieki, by te łzy ukryć; dzieci także były wzruszone. Ośmioletni Adaś, wielki zawadjaka, przysunął się do ciotki, wziął ją za rękę i pocałował.

— Opowiedz nam, ciociu, jak to było—rzekł tonem prośby.

Ciocia spojrzała na niego smutnie i głęboko.

— Długa to powieść—rzekła— a przytem niechętnie ją opowiadam, gdyż porusza w mem sercu przykre bardzo wspomnienia, lecz uczynię to dla was, a szczególnie dla Luci, żeby się nauczyła przebaczać.

To powiedziawszy, umilkła.

Dzieci usiadły z obu stron ciotki, ona chwilę smutnym, zamyślnym wzrokiem patrzyła w dal, nareszcie tak zaczęła:

— Byłam bardzo szczęśliwym dzieckiem; lecz nie tak szczęśliwym jeszcze, jak wy jesteście, gdyż nie miałam rodzeństwa, byłam jedynaczką... Zanim przyszłam na świat, rodzice moi stracili czworo dzieci starszych ode mnie, więc mnie pieścili bardzo, psuli potrosze, bo dogadzali wszystkim zachciankom; miałam mnóstwo zabawek, miałam prześliczne sukienki, jeździłam z mamą na wszystkie spacer, o co poprosiłam, to wszystko dostawałam. A nietylko rodzice tak mi dogadzali, lecz wujowie, ciotki, stryjowie, wszyscy. Szczególniej zaś wujaszek Zygmunt bardzo mnie lubił... Bawił się nawet często ze mną tak, jak gdyby równy mi był wiekiem; gdy w lecie przyjechał do nas na wieś, to woził mnie łódką po stawie, grał ze mną w piłkę, w serso, strugał mi cacka; kochałam go też bardzo i nie zważając, że jest starszy ode mnie o jakie dwadzieścia lat, nazywałam go po imieniu, poprostu Zygmuś; kazałam mu gonić się ze mną po ogrodzie, huścić mnie, a on spełniał wszystkie me życzenia. Jakże serdecznie się śmiałam, gdy poczciwy wujaszek puszczał mnie naprzód,

a potem goniąc, długimi swymi nogami robił olbrzymie kroki i w drodze mnie chwycił; jakże szczęśliwą się czułam, gdy posadziwszy mnie na swym wierzchołku, oprowadzał wokół klombu, znajdującego się przed naszym domem, a rodzice przypatrywali się nam z uśmiechem zadowolenia; on znał z imienia wszystkie moje lalki, on uczestniczył we wszystkich chrzcinach ich i ślubach...

Wuj Zygmunt mieszkał u nas stale, uczył się od ojca gospodarstwa, widywaliśmy się przeto codzień i kochaliśmy się bardzo, nie było na ziemi chyba lepszych od nas przyjaciół.

Pewnego południa przyszedłszy na obiad, wujaszek przyniósł mi z pola małego skowronka, którego, jak mi powiedział, znalazł wyrzuconego z gniazdka; przypuszczał, iż ptaszek był nieposłuszny, iż wylał z gniazdka, gdy rodziców nie było, a nie umiejąc jeszcze fruwać, oddalił się zanadto i nie mógł trafić napowrót. Siedział więc w brózdzie i pisał.

— Choć może winien, że nie słuchał matki, mnie go przecież żal—mówił wujaszek,—przyniosłem go tobie, bo wiem, że kochasz różne zwierzątka, to i tem biedactwem może się zajmiesz...

Z radością przyjąłem ten podarek. Czuwaliśmy odtąd we dwoje nad skowronkiem. Wujaszek nauczył mnie, jak go karmić mrowkami, miękkim serem i okruszynami bułki, kupił mi prześliczną klatkę z drutu i wychowaliśmy skowronka; on zaś wdzięczny za to, cośmy dla niego uczynili, przywiązał się do nas bardzo. Gdy otworzyłam klatkę, siadał mi natychmiast na ramieniu, przekręcał główkę to w jedną, to w drugą stronę i pa-

trzył czarnymi oczkami to na mnie, to na świecące słońce, a nucił tak pięknie, że go tylko słuchać i słuchać.

Pokochałam mego skowronka tak bardzo, iż ochłodziłam nieco dla wujaszka; gdy wrócił z pola, nie chodziłam już wszędzie za nim tak, jak to dawniej bywało, lecz co chwila odbiegałam, aby zobaczyć, co robi skowronek.

Wujaszek spostrzegł tę zmianę i widocznie go to dotknęło. Zauważyłam, że jednocześnie zrobił się niezwykle poważny, mało mówny i nie śmiał się prawie wcale. Później dowiedziałam się, iż inna, daleko ważniejsza przyczyna wpłynęła tak na wujaszka. Coraz więcej słyszałam, że powołują ludzi na wojnę, która wybuchnęła między Niemcami i Francją. Wujaszek był oficerem i ciągle oczekiwał rozkazu przybycia do pułku. Rodzice z obawą o tem wspominali.

Pewnego jednak ranka rozkaz nadszedł i wuj miał na drugi dzień stawić się w Poznaniu do pułku, który na wojnę wyruszał. Jakże smutno i strasznie nam się zrobiło! Ale najwięcej martwiła się mama, ona tak kochała swego brata!...

— Niestety! — mówiła — myślałam, że cię tu zostawię, ale pewno pójdiesz na granicę, lecz w jakiejże śmiertelnej obawie o ciebie pozostaniemy tutaj.

— Bóg będzie czuwać nade mną — odparł wuj — a twoja modlitwa, siostrze, bronić mnie będzie przed niebezpieczeństwem.

Rozmowa ta była prowadzona w klombie, z drugiej strony którego ja się bawiłam i wszystko słyszałam. Nie rozumiałam wówczas tego wszystkiego, ale widzia-

łam, że wszyscy byli smutni. Wuj wyszedł w celu przygotowania się do drogi. Nie śmiałam wybiedz jak zwykle za nim i krzykiem, śmiechem, lub żartem go zaczepić, zbliżyłam się cicho i podałam mu rękę; on uściśnął ją z roztargnieniem i nie przemówiwszy ani słowa, skierował się z mamą ku domowi; poszłam smutno za nimi.

Na drugi dzień siedziałem na werandzie, wtem coś zatrzepotało nad moją głową, coś zaświergotało mi nad uchem i milutki mój skowronek siadł mi na ramieniu, począł zaglądać mi w oczy i ćwierkać, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Nie martw się, ja ciebie kocham.

Uśmiechnęłam się do niego, wzięłam go w ręce i całować zaczęłam w dzióbek, a potem puściłam na ziemię; miałam w kieszonce biszkopik, rozkruszyłam i rzuciłam mu, a moja miła ptaszyna zaczęła zbierać okruchy.

Wtem usłyszałam głos wuja; tym razem dobiegał on mnie z gabinetu, którego okno znajdowało się tuż przy werandzie.

— Jeszcze pożegnaj się z małą Zosią — mówił, — jest na werandzie, widziałem ją tam.

W chwilę potem stał przede mną; tym razem uśmiechnęłam się do niego wesoło, lecz uśmiech uciekł z mych ust, spojrzał bowiem na mnie wujaszek tak jakoś smutno! potem usiadł przy mnie, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło, ale jakoś inaczej, niż zwykle; uczułam się zmieszana.

— Wyjeżdżam na wojnę, Zosiu — rzekł głosem jak gdyby drżącym.



— Czy na długo? — spytałam.

On zdawał się namyślać, co mi powiedzieć, a potem rzekł:

— Może na bardzo długo.

Po tej odpowiedzi zamilkł, a mnie zrobiło się tak smutno, jakbym coś złego przeczuwała; spuściłam oczy i stałam obok niego zamyślona. On tymczasem podniósł się z ławki i począł się przechadzać po werandzie z moim ojcem; prowadzili z sobą ożywioną rozmowę, a ja słyszałam ciągle tylko wyrazy: idę bez przekonania, wojna, bitwa, ranny i t. p.

Ja tymczasem przypomniałam sobie mego kochanego skowronka; spłoszony przybyciem wuja, wzleciał na wazonik stojący na werandzie, lecz teraz zeskoczył na podłogę, na której leżało jeszcze trochę okruszyn biszkoptu i zbierał je skrzętnie.

Wuj, zajęty rozmową, nie widział go; chodził wielkimi krokami, nie patrząc, gdzie stąpa, wzrok jego smutny tonął w dali, nigdy jeszcze nie był tak roztargniony, jak dzisiaj.

— Wuju, ostrożnie! — krzyknęłam nagle, gdyż spostrzegłam, że kieruje kroki w stronę, gdzie mój skowronek zbiera kruszyny.

Ale wuj mnie nie słyszał, a skowronek ani domyślał się grożącego mu niebezpieczeństwa, ja zaś ze strachu tak straciłam przytomność, iż nie spłoszyłam biednej ptaszyny. I stała się rzecz straszna... Ciężka noga wujaszka nastąpiła na biednego skowronka... Jeden krótki bolesny pisk, jedno ach! przestraszonego wuja i biedna ptaszyna ukazała się zgnieciona i nieruchoma. Krzyk-

nęłam strasznie, zasłoniłam oczy i chwilę tak stałam, nie śmiejąc się ruszyć. Wtem usłyszałam:

— Biedne stworzenie, nie widziałem go wcale.

To był głos wuja; odstłoniłam twarz i zobaczyłam go pochylonego nad martwym skrwawionym skowronkiem, chciał go podnieść.

— Nie dotykaj się go, tyś mi go zabił! — zawołałam głosem pełnym gniewu i łkając z żalu i oburzenia.

Uklękłam przy biednej ptaszynie, chciałam ją wziąć na rękę, lecz w tej chwili ukazała się mama na werandzie, zbliżyła się do mnie i tuląc do piersi, poczęła uspokajać.

— Córeczko, uspokój się, jeszcze się rozchorujesz — mówiła — dostaniesz innego skowronka.

Byłam wszakże niepokieszona, zanosiłam się z płaczem i drżałam cała, chciałam wyrwać się z objęć mamy, wrócić do mego faworyta, lecz mi nie pozwoliła.

— Ojciec go pogrzebie — mówiła — a potem przyniesiemy ci innego.

— Nie chcę innego — zawołałam wśród łkań.

— Bądźże rozsądna, Zosiu—odezwał się wuj—przecież nieumyślnie się to stało, mnie go także bardzo żal, ale czyż można o ptaszka tak płakać!

— Zostaw mnie, idź sobie, nie chcę patrzeć na ciebie — krzyczałam.

Moje wzburzenie było tak wielkie, iż mama skinęła na wuja, by się oddalił, a mnie poprowadziła do sypialni, posadziła na sofie, przytuliła do siebie i nie odeszła póki się nie uspokoiłam; chłodne, miękkie swoje dłonie położyła mi na rozpalonem czole, i cicho, łagodnie, serdecznie tak długo przemawiała do mnie, aż przestałam płakać i wkońcu wyczerpana wielkiem wzruszeniem, usnęłam.

Musiałam spać bardzo długo, zbudziłam się bowiem, kiedy zachodzące słońce czerwone swe promienie rzucało przez okno; otworzyłam oczy i zobaczyłam rodziców, a z nimi wuja Zygmunta, blisko mnie siedzących. Zrazu nie mogłam zrozumieć, co to znaczy, że jestem w łóżku, skoro to nie noc; ale naraz cały wypadek ze skowronkiem stanął mi żywo w pamięci i wybuchnęłam nanowo płaczem. Rodzice i wuj zbliżyli się natychmiast do mnie.

— Nie spodziewałam się, moja Zosiu, że taką będziesz — odezwał się wuj łagodnym głosem — łzami nie wskrzesisz skowronka; co się stało, to się nie wróci, ucałuj mnie i przestań się gniewać; za pół godziny odjeżdżam, chcę się więc z tobą pożegnać; już się tak prędko razem bawić nie będziemy... To mówiąc, pochylił się ku mnie.

Lecz ja odwróciłam się od niego.

Dzisiaj nie pojmuje, że te ostatnie jego słowa nie zrobiły wówczas na mnie wrażenia. Zaczęłam znowu płakać i powtórzyłam te same brzydkie wyrazy:

— Idź sobie, zabiłeś mego skowronka, jesteś niedobry...

— Przepraszam cię też bardzo, moja Zosiu — rzekł wuj łagodnie, — ale czyż moja Zosieczka nie może mi przebaczyć? Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś nie pożegnała się ze mną. Kto wie, kiedy wrócę i czy wrócę.

Ostatnie te słowa wymówił z takim smutkiem, że mnie serce zabolalo; nachylił się ku mnie chcąc mnie pocałować, ale odepchnęłam go gwałtownie.

— Nie mogę cię pocałować.

— Naprawdę nie możesz?

— Nie mogę, bo zabiłeś mego skowronka — znów odpowiedziałam.

Tym razem odwrócił się ode mnie ze łzą w oku i wyszedł z ojcem i mamą.

— Bądź Zosiu zdrowa — rzekł wychodząc — i pamiętaj o twoim Zygmusiu.

Ja zaś, niestety, tak byłam zacięta, że nawet po tych słowach nie przywołałam go do siebie.

Wyszli wszyscy troje smutni, milczący i udali się na dwór. Okno mego pokoju było otwarte, więc słyszałam ich rozmowę doskonale. Mama płakała głośno.

— Żegnaj, Zygmunce — mówiła, — a pamiętaj o nas, pisuj do nas jak najczęściej i dawaj częste wieści o sobie.

Potem nastąpiły głośne pocałunki.

W tej chwili uczułam w sercu także wielką ochotę uściskania wujaszka; gdyby był wówczas stanął przede mną, byłabym z pewnością oplotła mu ręce koło szyi, byłabym go ucałowała; ale on, niestety, po takim mojem odepchnięciu go, nie mógł się domyślić życzenia mego. Siadłam na łóżku.

— Może przyjdzie jeszcze — rzekłam sama do siebie i czekałam.

Ale nie przyszedł... Usłyszałam tylko rzenie jego konia, potem bolesne: «bądź zdrow» i coraz oddalające się stąpanie.

— Więc pojechał! — zawołałam z głośnym łkaniem, rzuciłam się na poduszkę i ukryłam w niej twarz.

Skowronek wyszedł mi teraz całkiem z myśli, o wuju myślałam i jego tylko:

— Kochany wujciu Zygmuncie, mój drogi wujciu! — wołałam.

Od tego dnia codziennie pytałam mamy:

— Kiedy wujek powróci?

I zawsze jedną otrzymywałam odpowiedź:

— Nie wiem, dziecko moje, prosz Boga, by wrócił zdrów.

Rano i wieczór modliłam się o to gorąco. Smutno też, bardzo smutno było bez niego w domu; rodzice sposepniali; z sąsiadów mało kto nas odwiedzał, a gdy który przyjechał, to tylko mówili o rannych, o poległych, o bitwach, o zaginionych bez wieści, o wziętych do niewoli i o całej strasznej wojnie.

A ja sobie często myślałam: — Ach żeby ten wujaszek powrócił! Jakże radośnie powiedziałabym, że mu przebaczam; ale go niema...

Pisywał z początku często, potem listy jego naraz ustały. Mama była w straszny sposób zaniepokojoną.

Minęło kilka tygodni. Pewnego ranka jakiś pan obcy zajechał przed nasz domek; siedzieliśmy właśnie wszyscy na werandzie. Ojciec, ujrawszy obcego, powstał i poszedł naprzeciw; nieznajomy zeszedł z wózka i skłonił się ojcu. Miał rękę prawą zwieszoną na czarnej chustce zawiązanej u szyi.

— Jestem Bronisław Rożański — rzekł, — przyjaciel i towarzysz pana Zygmunta; wracam, jako ranny w rękę do domu dla wyleczenia się.

— Proszę, proszę dalej — odparł ojciec, wprowadził gościa na werandę i przedstawił go mamie, a następnie prosił, by siadł obok nas.

— Cóż Zygmunt porabia? — spytała prędko matka, — czy nie ma pan dla nas listu od niego?

— Listu, nie — odparł gość wzruszonym głosem, — mam tylko polecenie ustne.

— Cóż kazał nam powiedzieć?

Pan Rożański spuścił oczy.

— Prosił, by państwa pożegnać — rzekł cicho.

Z ust mamy wyrwał się krzyk bolesny.

— Zginął!

To powiedziawszy, głośno płakać poczęła.

— Poległ śmiercią walecznych i to w wojnie, w której nie brał udziału sercem.

Patrzyłam zdziwiona i przerażona, to na tego obcego, to na mamę, to na ojca, który zbladł strasznie. Naraz zrozumiałam okrutny wyraz.

— Wuj Zygmunt zabity! — krzyknęłam, a w sercu mem jakiś głos surowy rzekł:

— A tyś nie chciała podać mu ręki do zgody!

Nigdy tej ciężkiej chwili nie zapomnę; z płaczem prawie konwulsyjnym rzuciłam się matce na szyję. Ach! co byłabym wówczas dała za to, żebym tego kochanego wuja mogła była zobaczyć, usłyszeć głos jego piękny, ten drogi jego głos, i powiedzieć mu, że go kocham zawsze jednakowo, że nic a nic nie gniewam się na niego.

Niestety, zapóźno żal wzbudził się w mem sercu, nie zobaczyłam go więcej!...

Długo chorowałam po otrzymaniu tej fatalnej wieści; boleść z powodu śmierci ukochanego wujaszka i wyrzuty sumienia wywołały chorobę.

Nareszcie po kilku tygodniach wyzdrowiałam i doktor pozwolił mi wstawać. Pierwsze pytanie, jakie czyniłam mamie, przyszedłszy do przytomności, było:

— Czy wuj powrócił? — zdawało mi się bowiem, że w gorączce sniłam o jego śmierci.

Lecz dwie łzy wielkie, jakie to pytanie wywołało z oczu mamy, przekonały mnie, niestety, że to nie był sen, ale smutna rzeczywistość.

Całując mnie, mama powoli opowiedziała, że kiedy spłakaną zabrano mnie z pokoju w owym dniu, w którym pan Rożański przywiózł wiadomość o śmierci wuja, powiedział on potem rodzicom, że ostatnie słowa, jakie śmiertelnie ranny wuj Zygmunt wymówił, trzymając jego dłoń w stygnących już rękach, były:

— Drogi kolego, kup Zosi skowronka i powiedz jej, że ją raz jeszcze przepraszam.

Pan Rożański nie zrozumiał tych słów, nie kupił skowronka, bo wziął to za majeczenie umierającego, ale je powtórzył i zapytał, coby ta prośba miała znaczyć?

Lecz rodzice dobrze ją zrozumieli, a ja, gdy mi ją mama powtórzyła, rozplakałam się serdecznie, mówiąc:

— Zapóźno! zapóźno!

— Temi słowy zakończyła ciocia swoje opowiadanie. Mówić dalej nie mogła i spojrzała na dzieci.

Były niezmiernie wzruszone. Adaś i Lucia mieli łzy w oczach, chwilę siedzieli milczący, zamysłeni, potem Adaś zwrócił się do siostry.

— Cóż, Luciu, przebaczysz mi teraz? — zapytał.

Ona, w miejsce odpowiedzi, obie swe rączki oplótła koło szyi brata i uścisk serdeczny, gorący złączył ich oboje.

— Nigdy, nigdy nie będę już taką nieubłaganą, jak dziś nią byłam! — rzekła Lucia — zawsze się przeproszę, z kim się tylko pogniewam, żeby nie było «zapóźno».

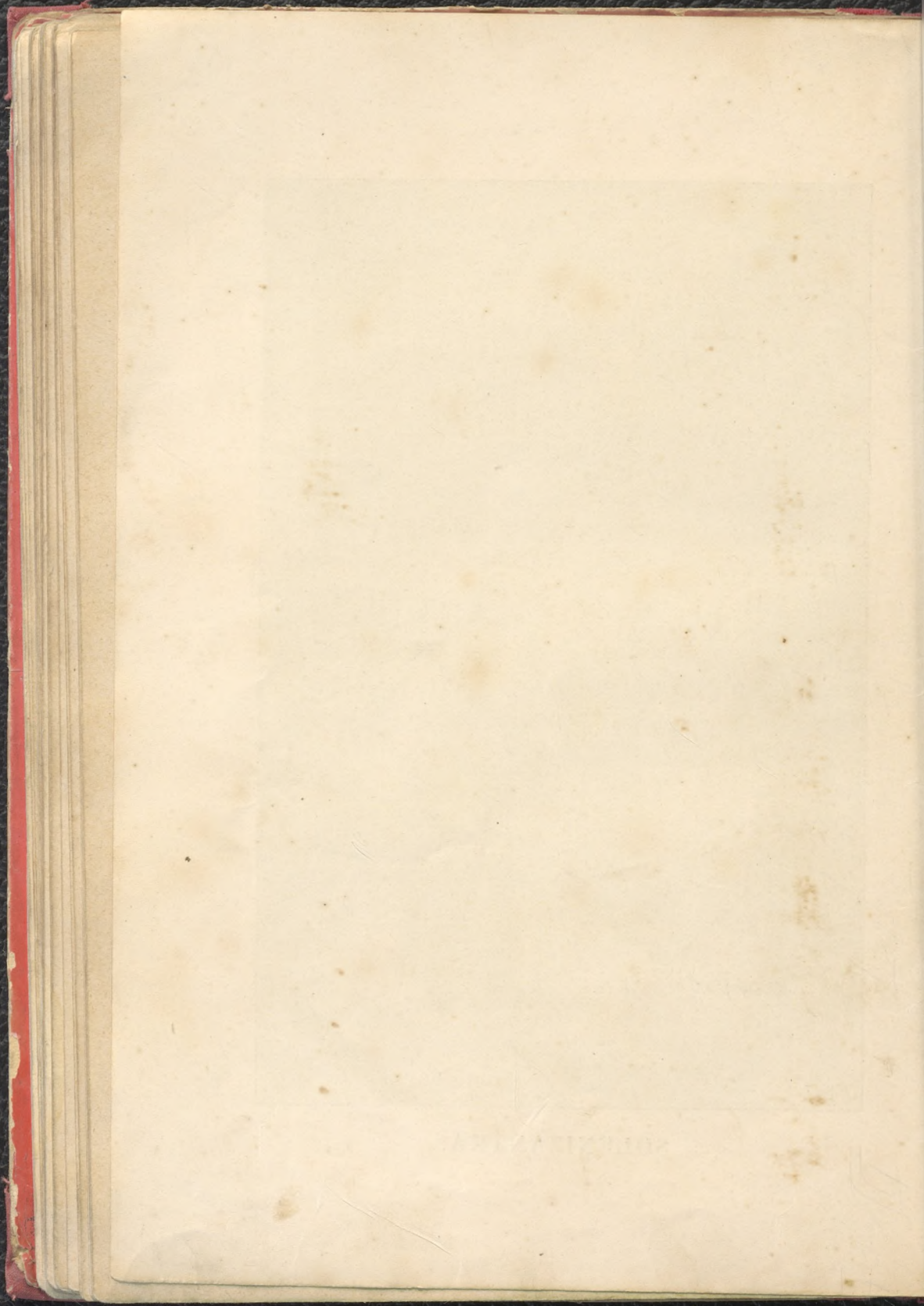
— I ja także — dodał Adaś poważnie.

---





SOLENIZANTKA.



## SOLENIZANTKA.

---

Pan Zawadzki powrócił do domu, wszedł do stołowego pokoju, rozejrzał się wokoło i zapytał znajdujących się tam córek swoich, Jadzi i Anielki:

— A gdzież to nasza solenizantka?

— Manieczko, ojciec cię woła — zawołała Jadzia.

Mania usłyszała wezwanie, wbiegła do pokoju i pośpieszyła do ojca z powitaniem. Pan Zawadzki pochylił się do swej najmłodszej pieszczochy i serdecznego całusa złożył na jej czole.

— Toż to dziś twoje urodziny — rzekł — kończysz lat ośm, duża już z ciebie panna. Życzę ci serdecznie, moja kochana córuchno, aby ci Pan Bóg błogosławił, abyś była zdrowa i żeby cię wszyscy kochali. Bądź dobrą dziewczynką i pamiętaj zawsze o biedniejszych od siebie. Ponieważ mama mówiła mi, że chce ci dzisiaj zrobić przyjemność i w tym celu zaprosiła na poobiednią zabawę twoje przyjaciółki, Tonię, Halinkę i Cesię, daję ci przeto trochę pieniędzy, kup ciasteczek i cukierków. Będiesz miała dla nich przysmaczki i zagracie z sobą w loteryjkę o cukierki.

Manieczka ucałowała z wdzięcznością rękę ojca, potem klasnąwszy z radości w dłonie, pobiegła w podskokach do pokoju matki.

— Mamuniu, mamunieczko! — zawołała — patrz, co ja dostałam od ojca, — i pokazała duży srebrny pieniąż. Ojczyk powiedział mi, że będę miała dzisiaj gości i kazał mi kupić dla nich ciastek i cukierków. O! to się bawić będziemy! Ale, moja mamusiu, chciałabym sama wybrać cukierki, czy mogę pójść po nie do cukierni?

— Możesz pójść z Józefą, lecz ubierz się ciepło, bo dziś mróz silny.

W istocie bardzo było zimno na dworze, śnieg poosiłaniał wszystko grubą białą warstwą, drzewa i dachy domów pokryte były jakby masą cukrową, a pośrodku ulicy grzęzło się w śniegu, jak w puchu; dorożek wcale nie było widać, tylko lekkie sanki suwały się po owej miękkiej powierzchni z szybkością strzały.

Ani jedna chmurka nie zasępiła błękitnego nieba, słońce świeciło jasne i piękne, lecz promienie jego nie grzały, śnieg się ich nie lękał, bo za słabe były, żeby go roztopić.

Mania włożyła ciepłe swoje popielicowe futerko, aksamitną, puszką oszytą czapeczkę, mufkę, kamasze i kalosze, wzięła koszyczek w rękę i tak ubrana poszła powiadzić Józefie, że ma iść z nią do cukierni.

Józefka była to młoda dziewczynka, która pozostawała u państwa Zawadzkich na usłudze panienek; wezwana przez Manię, powiedziała, że natychmiast pójdzie; wzięła więc duży parasol, choć było pogodnie i poszły razem.

Na Marszałkowskiej ulicy, gdzie państwo Zawadzcy mieszkali, była w bliskości cukiernia, wkrótce zatem Mania do niej weszła.

Zobaczywszy zrazu takie mnóstwo ciastek, Mania nie wiedziała, które wybrać, bo i te i tamte nęciły, lecz trzeba było zastosować się do ilości pieniędzy, jakie dostała; Józefka pytała się o cenę każdego, mówiła panience, które za drogie, a które może kupić...

Nareszcie Mania zdecydowała się, wybrała kilkanaście i z tańszych i z droższych, kupiła też tabliczkę czekolady i pełną torebkę cukierków. Przysmaki włożyła do koszyka, a torebkę z cukierkami i duży precel wzięła w rękę. Tak obładowana specjałami, wyszła uszczęśliwiona z cukierni.

— Poproszę mamunię, to nam kawy i czekolady ugotuje—mówiła do Józefki.—Tonia lubi kawę, Cesia czekoladę, będą miały, co zechcą; a po podwieczorku zagramy w loteryjkę, dlatego cukierki kupiła, będziemy niemi płacić wygrane. To będzie zabawa!

— Czy panienka widzi tę dziewczynę, jak przypatrzuje się cukierkom i ciastkom, które panienka niesie, musi być bardzo łakoma—odezwała się naraz Józefka.

Mania spojrzała i w istocie ujrzała biednie, ale czysto ubraną dziewczynkę, mimo zimy w perkalowej sukni, w chustce wełnianej na krzyż związanej, która bardzo niedostatecznie broniła od mrozu. Wzrok dziewczynki nie wyrażał wszakże chciwości i łakomstwa, patrzyła tylko ze smutkiem na wspaniałą wystawę okna cukierni, na te przysmaki, znajdujące się za szybą, a co sobie myślała, trudno było wiedzieć. Może to, że chętnie zjadłaby jedno z tych smacznych ciastek, ozdobio-

nych konfiturami, lecz nie było to jeszcze dowodem, iż jest łakomą. Dziewczynka z uśmiechem spoglądała to na Manię, to na precla.

Józefka chciała prędko przejść na chodnik, lecz Mania zatrzymała się.

— Miałabyś pewno ochotę zjeść jedno z tych ciastek, co są w oknie? — spytała z uśmiechem.

Dziewczynka skinęła głową potwierdzająco i rzekła smutnie:

— Kiedy nie mam pieniędzy na ciastka.

— Jak ci na imię? — zaczepiła ją znowu Mania.

— Mania.

— Mania! — śmiejąc się, powtórzyła strojna panienska, — to tak samo, jak ja. A ileż ty masz lat?

— Dzisiaj skończyłam ośm lat.

— A to zabawne! To dziwne! Nazywa się Mania i dzisiaj są także i jej urodziny! — wołała Mania. — A dostałaś ty jakie podarki od rodziców na urodziny?

— Jakie podarki? — zapytała dziewczynka.

— No, zabawki, przysmaczki.

— Podarki, przysmaczki! — rzekła biedna dziewczynka i westchnęła smutnie; — moja mama nie ma pieniędzy na przysmaczki, dobrze, gdy wystarczy na kupienie chleba. Tatko nasz już drugi miesiąc leży chory, mama pracuje na niego i na nas czworo, szyje po całych dniach i nocach; ja jeszcze zarabiać nie potrafię, choć mam już ośm lat, pilnuję tylko młodszych braci, sprzątam izbę i ojca doglądam.

W oczach Manieczki błysnęły łzy, żal ścisnął jej serduszko; chciała właśnie coś powiedzieć, lecz Józefka zniecierpliwiona długą rozmową, rzekła:

— Niech panienka wraca do domu, nie można tak stać na ulicy i rozmawiać z niewiadomo jaką dziewczyną.

— Zaraz pójdę—odparła Mania, tylko jeszcze o coś ją zapytam i zwróciła się do biednej dziewczynki.

— Więc ty nigdy nie jadasz ciastek, ani w niedzielę, ani w imieniny, ani w urodziny? — spytała ze współczuciem.

— Nigdy—odrzekła dziewczynka,—skądżebyśmy to mieli?

Mania wyciągnęła do niej rękę z torebką, wyładowaną cukierkami.

— Weź to sobie — rzekła.

Józefka, usłyszawszy to, przystąpiła do Manieczki, i całując ją w główkę, rzekła:

— Moja panienko, niech panienka tego nie robi. Państwo gniewać się na mnie będą, że na to pozwalam, wracajmy czempredzej, bo jeszcze panienka się zaziębi.

Na bladą zaś twarzyczkę biednej małej wybiegł rumieniec, oczy błysnęły wyrazem radości, spojrziała z niedowierzaniem na bogatą panienkę, nie śmiała wyciągnąć ręki po taki hojny dar.

— Weźże torebkę—ponowiła wezwanie Mania, której radość, jaką widziała na twarzy ubogiej dziewczynki, wielką przyjemność sprawiła, — dam ci jeszcze coś więcej.

Mała wyciągnęła rękę i wzięła torebkę, a Mania otworzyła szybko koszyk, wyjęła z niego tabliczkę czekolady i kilka ciastek.

— Weź i to — rzekła, — poproś mamy, by wam ugotowała czekolady.

— Toż to będzie dziś u nas obiad wspaniały! — wykrzyknęła biedna dziewczynka, — a już myśleliśmy, że go wcale nie będziemy jedli.

— Jakto, obiadu nie mieliście jeść? — tonem zdziwienia zapytała Manieczka.

Radość zgasła w oczach biednej dziewczynki, westchnęła ciężko.

— Zdarza się to u nas coraz częściej — rzekła, — lekarstwa ojca dużo kosztują, a mama niezawsze ma pieniądze na obiad.

— Ależ to okropne! — szepnęła Mania — weź te wszystkie ciastka i te cukierki, nie jestem głodna, jadam codzień obiad, moje przyjaciółki również, a wy...

W jasnych oczach Manieczki zaświeciły łzy, wzięła koszyczek wyładowany przysmakami, włożyła go na rękę biednej dziewczynki i dodała jej nawet ów wielki obwarzanek, który trzymała niezawinięty.

— Weź to wszystko — mówiła, — podziel się z twymi braciszkami, ja często jadam ciastka i dzisiaj obejść się bez nich.

Józefka patrzyła zdziwiona i oburzona na tę całą scenę, mówiąc:

— Do czego to podobne, ręczę, że państwo będą się gniewać!

Manieczka prosiła ją:

— Moja Józefko, widzisz przecież, jaka to biedna ta Mania, co ci to szkodzi, że ja jej to oddam, przecież my to mamy często, a oni nigdy i tatko jej chory! Zresztą dzisiaj są jej urodziny, a ona od nikogo nie



nie dostała, niechże ja jej dzisiaj zrobię tę uciechę. Wiesz przecież, jaka ona uradowana.

— Ale co mama panienki na to powie?

— Już ja i mamę i tatkę przeproszę, wracajmy!

Biedna dziewczynka z wdzięcznością przyjęła dar niespodziany, który Manieczka kupiła dla swoich gości i dygnawszy, chciała odejść.

— Gdzie mieszkają twoi rodzice?—zapytała jeszcze Mania.

— Niedaleko stąd, pod Nr. 71.

Mania skinęła jej główką przyjaźnie i śpiesznie do domu podążyła.

— Cóżto, wracasz bez niczego, nie kupiłaś ciastek?—zapytały ją siostry, gdy weszła do pokoju.

Dziewczynka stanęła w pośrodku, nie wiedząc, co odpowiedzieć, spuściła oczy w ziemię, była bardzo zakłopotana; wyreczyła ją Józefka, która opowiedziała wszystko, całe spotkanie z biedną dziewczynką, najdrobniejszego szczegółu nie pominęła.

Starsze siostry słuchały wzruszone, a gdy Józefka, kończąc swe sprawozdanie, rzekła:

— Ani jednego ciasteczka nie zostawiła sobie panienka, wszystkie oddała tej łakomej dziewczynie!

Anielcia, która już lat piętnaście liczyła, zbliżyła się do zarumienionej Manieczki i objąwszy ją, uścisnęła czule.

— Dobrześ zrobiła, siostrzyczko, oddając tej biednej dziewczynie wszystko, co miałaś—rzekła,—nie uwolniłaś ich wprawdzie od głodu, lecz uszczęśliwiłaś całą rodzinę na chwilę; pewno smutne ich twarze rozjaśniły się, gdy mała opowiedziała, jak wzruszyło cię ich nieszczęście.

Po obiedzie, gdy małe przyjaciółki przysły na zabawę, Manieczka przeprosiła je, że zamiast czekolady i ciastek, dostaną tylko kawę z mlekiem i bułki z masłem i opowiedziała im, z jakiej przyczyny tak skromny mić będą podwieczorek w dzień jej urodzin. Tonia, Halinka i Cesia uściskały przyjaciółkę i powiedziały, że nie tylko nie gniewają się na nią, iż ciastka dla nich przeznaczone oddała biednej dziewczynce, lecz także coś ze swej strony muszą dodać dla tej nieszczęśliwej rodziny.

— Ja mam w skarbonce dziesięć złotych — rzekła Tonia, — poproszę mamę, żeby mi pozwoliła posłać je na lekarstwo choremu ojcu tej dziewczynki.

— Ja dostałam wczoraj od dziadzia trzy ruble — odezwała się Cesia.

— Ja także zbierałam sobie już ośm złotych — rzekła Halinka, — może i mnie rodzice pozwolą posłać te pieniądze tym nieszczęśliwym ludziom. Jutro przyjdziemy ci o tem powiedzieć.

Poczem dziewczynki uradowane tak dobrą myślą, rozpoczęły wesoło zabawę. Do loteryjki służyły im nie cukierki, lecz orzechy. Były one im tym razem przyjemniejsze. Po zabawie wróciły wieczorem do domów swoich i zaraz każda udała się z prośbą do rodziców o pozwolenie użycia zebranych pieniędzy na cel umówiony.

Nazajutrz stawily się wszystkie razem do Manieczki, każda ze swoim darem i po naradzie postanowiły napisać do tamtej biednej Mani list bezimienny, tylko z podpisem «od solenizantki.»

— Ja na to przystać nie mogę — rzekła Manieczka — to nie są moje pieniądze, więc nie można napisać «od solenizantki».

— Lecz myśmy poszły tylko za twoim przykładem ty się głównie przyczyniłaś do tego, że biedni ludzie pomoc otrzymają.

— To poradzimy się mamy jak zrobić, bo ja tak nie chcę — i pobiegły razem do mamy Manieczki.

Mama poradziła i tegoż jeszcze dnia Józefka zaniósła do biednej rodziny list następującej treści:

«Prosimy przyjąć tę drobną pomoc na lekarstwo dla chorego ojca

*od koleżanek wczorajszej solenizantki».*

W liście była połowa ich oszczędności.

## CIEŻKA ROBOTĄ.

Przed stolikiem, założonym książkami, siedział chłopczyk lat jedenaście mający, z łokciami o stół opartymi, z głową położoną na dłoniach i patrzył smutnie i chmurnie przed siebie. Wielki zegar, wiszący naprzeciw niego, cicho szeptał mijające sekundy, czarne skazówki posuwały się jednostajnie, znacząc ubiegłe minuty. Mijały kwadransy, a on siedział prawie nieporuszony; cisza zalegała pokój.

Wtem rozwarły się drzwi i w progu stanął chłopiec, tegoż samego wieku, co i siedzący przy stoliku, lecz niepodobny do tamtego; miał twarzyczkę pogodną, a oczy patrzyły wesoło i na koralowych ustach tkwił uśmiech serdeczny.

— Jak się masz, Kaziu! — rzekł, wchodząc do pokoju — stęskniłem się za tobą i uprosiłem mamy, by mi pozwoliła cię odwiedzić.

Z temi słowy zbliżył się do stołu, nachylił się do chmurnie siedzącego przyjaciela i zajrzał mu w oczy. Ten jednak nie poruszył się, nie przemówił ani słowa na powitanie.

— Cóż to, nie witasz mnie? — rzekł z wymówką gość — masz zmartwienie jakie, czyś może chory?... nie odpowiadasz! doprawdy, gotów jestem przypuścić, żeś nierad z mych odwiedzin, że się gniewasz na mnie.

— Eh, daj mi pokój, mój Władku, zły jestem, ot i wszystko — odparł wreszcie Kazio — ojciec chce mnie poprostu zameczyć.

Władek roześmiał się.

— W to chyba nie uwierzę — rzekł.

— Jak sobie chcesz, możesz wierzyć lub nie wierzyć, wszystko mi jedno — odezwał się znowu chmurnie Kazio — ale faktem jest, że taki koniec będzie, iż mnie zameczą.

— Czem? — spytał Władek.

— No, pracą, naukami!

— Alboż ty pracujesz więcej ode mnie? Obydwaj jesteśmy w pierwszej klasie, jednako mamy zadawane lekcje, a jednak ja nie czuję się zapracowanym i mam jeszcze czas na zabawę.

— Wierzę, bo od ciebie matka więcej nie żąda nad to tylko, abys odrobił to, co do klasy zadane, a mnie ojciec wymyślił lekcje historii, które dwa razy na tydzień zawsze z nim miewam; patrz, ile mam zadanej samej historii na dziś wieczór, aż dwie całe stronic!

— Jakiś ty szczęśliwy — odparł poważnie Władek i jasna jego twarzyczka powlokła się wyrazem smutku. — Moja matka nie ma czasu, by mi lekcje dawać, w każdą niedzielę czytam zwykle sam historję, stąd znam ją trochę.

— Szczęśliwy?... paradny jesteś — mruknął Kazio — to mi dopiero szczęście! od rana do wieczora ślęcz i ślęcz

nad książkami, ani chwili na zabawę, na odpoczynek; tylko posłuchaj, co ja jeszcze mam dziś przed dziewiątą zrobić: przykład arytmetyczny, nauczyć się z gramatyki całego liczebnika, przetłómaczyć z niemieckiego całą stronice, no i nauczyć się tej historii, a potem o dziewiątej znowu z ojcem zasiąść do lekcji.

Władek spojrział na zegar.

— Toż masz jeszcze dosyć czasu do wyuczenia się tych lekcji, a przecież można je wcześniej odrobić, tylko zacznij się uczyć! Mamy teraz czwartą godzinę — rzekł — dajmy sobie słowo, że do szóstej ani jednego wyrazu nie wymówimy do siebie; ja usiądę w kącie i będę cicho sobie czytał jaką książkę, a ty będziesz się głośno uczył jednej lekcji za drugą. Zobaczysz, że o szóstej pobiegniemy na podwórze i będziemy się jeszcze wesoło bawić do dziewiątej.

— Et gadasz, gdzież ja zrobię to wszystko przez dwie godziny—odparł Kazio— czy to jest możliwe? Już wolę teraz pobawić się trochę... gdy odpocznę, to jakoś z większą ochotą zabiorę się do tej pracy.

— Zabawa nie sprawiłaby ci teraz żadnej przyjemności — rzekł Władek — bo wśród zabawy byłbyś niepokojny, że lekcji jeszcze nie umiesz i czy je zdążysz odrobić. Ja zaś wyrzuciłbym sobie, że cię oderwałem od koniecznej roboty. Pamiętam, jak mój dobry ojciec, gdy już był bardzo chory, mówił mi często: «Pamiętaj Władziu, że póki obowiązków naszych nie spełnimy, póty spokojni być nie możemy.» Dlatego radzę ci, jeśli się chcesz wesoło bawić, posłuchaj tej rady, zawsze odrób najprzód zadaną robotę, a potem całą duszą używać będziesz swobody.

— A jednak przyszedłeś dziś do mnie — odparł Kazio.

— Bo lekcje zadane na jutro odrobiłem jeszcze zrana; wstałem dziś o szóstej umyślnie, aby się wcześniej nauczyć wszystkiego i aby całe poobiedzie z tobą spędzić.

Kazio zamyślił się pochmurnie.

— No, bierz się już do roboty, szkoda czasu! — odezwał się znowu Władek.

— Ależ to niepodobna, abym ja to wszystko przez dwie godziny skończył — odparł Kazio.

I ukrywszy twarz w dłoniach, począł płakać.

— Kaziu, ty płaczesz nad takim głupstwem, ty się nie wstydzisz płakać! ależ cała klasa wyśmiałaby cię, nazwałaby mazgajem; bądź pewny, że nie powiem tego, co widzę, nikomu, ale doprawdy wstydzę się za ciebie...

Kazio przestał płakać, otarł oczy.

— Dobrze ci mówić, ty nie masz nic więcej do roboty nad lekcje do klas, to prędko się z niemi załatwiasz, ale nie ja... mruknął.

— No, no, ty biedaku, już nie narzekaj, tylko się zabierz do tej roboty energicznie, a zobaczymy, jak to długo trwać będzie; ja siadam do czytania, widzę tu jakieś «Podróże», nie znam ich jeszcze, z ochotą przeczytam, a ty bierz się do gramatyki!

To powiedziawszy, Władzio wziął książkę ze stołu i siadłszy pod oknem, zaczął czytać. Kazio westchnął ciężko, sięgnął po gramatykę, otworzył ją i półgłosem zaczął się uczyć.

— Nauczę się ja, akurat nauczę... — mruknął parę razy, spojrzawszy z pod oka na przyjaciela.

Lecz Władek ani słowa nie rzekł.

— Zajmują cię te podróże? — zapytał po chwili.

Ale i na to pytanie nie otrzymał odpowiedzi.

Ruszył przeto gniewnie ramionami, znowu coś mruknął pod nosem i zatopił się w książce; teraz nie odrywał od niej oczu, kilka razy powtórzył każdy ustęp i pół godziny nie upłynęło, a umiał cały liczebnik doskonale. To go zachęciło, zabrał się natychmiast do drugiej lekcji; wkrótce i tę umiał, potem do trzeciej. Uczył się z coraz większym zapałem, z coraz większą ochotą. W pokoju słyhać było tylko chód zegara, wskazówki posuwały się jednostajnie po białym cyferblacie, znacząc ubiegłe chwile. Kazio już na nic nie uważał, tylko uczył się zapamiętałe i właśnie ostatnią lekcję historii powtarzał, gdy zegar szóstą wydzwonił.

Podniósł się, odsunął z hałasem krzesło i spojrzał wesoło na Władka.

— Już umiem wszystkie lekcje! — zawołał radośnie.

Władek rzucił książkę na okno.

— Brawo! — krzyknął. — Ale czy wszystkie?

— Wszystkie — odpowiedział Kazio — i umiem je dobrze.

— A widzisz! nie mówiłem? Teraz chodźmy na dziedziniec, dopiero będziemy się bawić! Dawaj piłkę!

Władzio podniósł się z krzesła i obaj wybiegli ku drzwiom, lecz w progu ujrzeni pana Bagniewskiego, ojca Kazia.

— Dziękuję ci Władziu — rzekł wyciągając rękę do kolegi syna — dobry z ciebie przyjaciel; chciałbym, żeby Kazio miał takich jak najwięcej.



I podał dłoń rozsądnemu chłopcu, który zarumieniony, pośpieszył się z nim przywitać.

— Słyszałem wypadkiem, jak z żalem mówiłeś, że matka twoja czasu nie ma uczyć cię historji, ja zaś radbym był bardzo, gdybym miał tak pilnego ucznia; poproś twoją mamę, by ci pozwoliła w czwartki i soboty przychodzić o dziewiątej do nas, a uczyć was będę razem. Kazio niewątpliwie na tem skorzysta, bo uczyć się będzie z większą ochotą.

Władek uszczęśliwiony ucałował z wdzięcznością rękę pana Bagniewskiego, poczem chłopcy pobiegli na dziedziniec.

Jakże dobrze bawili się tego poobiedzia! Dawno już nie był Kazio w tak dobrym humorze i nie śmiał się tak szczerze.

Zabawa szła w piłkę, w wolanta i inne gry.

— Serdecznie dziękuję ci za dobrą radę, którą mi dałeś, kochany Władku — rzekł Kazio, gdy o godzinie dziewiątej Władek ucałował go na pożegnanie — od dzisiaj zawsze zaraz po obiedzie zabiorę się do roboty, żeby mieć potem myśl swobodną do zabawy i cały wieczór wolny.

---

## NAUKA RACHUNKÓW.

---

Przyjazd dziadunia wywoływał zawsze w domu państwa Karskich wielką i powszechną radość, cieszyli się starsi, bo ukochanym był ojcem i wesołym gawędziarzem; cieszyła się służba, bo hojnym był dla niej, cieszyły się dzieci: Marcia, Zbigniew i Stasia, bo go kochały bardzo. Dziadunio ich huśtał i nosił, gdy jeszcze chodzić nie umiały, Marci i Zbiniowi pierwsze litery w elementarzu pokazywał. Ilekroć do nich zawitał, obdarzał ich ładnymi podarkami, bawił się z nimi, jakby sam jeszcze był dzieckiem, czasem napominał, lecz za to tak ciekawe rzeczy opowiadał, że dzieci zawsze prosiły dziadunia o jaką ładną historyjkę, których tak wiele im opowiadał, a były one zawsze nowe i zawsze bardzo zajmujące.

Gniewem nie unosił się dziadunio nigdy, tylko, gdy które z nich coś zawiniło, piękna twarz jego powlekała się wyrazem smutku, jakgdyby ciężkie zmartwienie go spotkało. Przywoływał wtedy małego winowajcę do siebie i wkrótce go przekonywał, dlaczego nie powinien był tak postąpić.

Dzieci tak się bały tej smutnej twarzy dziadunia, iż strzegły się zmartwić go czemkolwiek, ubiegały się w usługach, spełniały wszystkie jego życzenia, starały się myśli jego niemal odgadywać.

Przedewszystkiem dziadunio zachęcał ich do zgody między sobą i z innymi dziećmi. Mówił im też zawsze:

— Bądźcie zgodni teraz między sobą, a później w stosunkach z ludźmi, bo przez niezgodę nieszczęśliwe są nietylko rodziny, ale i całe narody.

Bardzo się też dziadzio cieszył, gdy widział, że wnuki jego bawią się razem, bez sprzeczek, i że jedno drugiemu chętnie ustępuje.

Pewnego razu, dziadunio przyjechawszy do państwa Karskich, przywiózł starszemu wnukowi, Zbigniewowi, bardzo ładny przyrząd do rachunków, złożony z drucików, na których nawleczone były kolorowe duże paciorki, jak widzicie na obrazku.

— Masz iść na przyszły rok do szkoły, oto jest przyrząd, na którym możesz się wprawiać w rachunkach — rzekł, oddając chłopcu podarek. — Jeśli przed obiadem nauczysz się dodawać na pamięć po cztery do czterdziestu, pojedziesz ze mną po obiedzie na spacer do lasu. Wybieram się w odwiedzinie do nadleśniczego, który ma takie piękne psy, zobaczysz je; w lesie śpiewa mnóstwo ptaków, a co poziomek rumieni się wśród trawy, a co kwiatów rozlewa miłą woń wokół! zjedzie ci poobiedzie przyjemnie. A teraz chodź do mnie, to ci pokażę, jak się masz uczyć rachować na tym przyrządzie.

I dobry dziadunio nauczył Zbinia, jak ma oddzielać, a potem zsuwać paciorki.

Zbigniew ucieszył się obietnicą wyjazdu, podziękował za podarek i pobiegł na werandę, aby się pilnie uczyć. Oddzielał gałki kolorowe i dodawał po cztery, a potem sumę ogólną powtarzał w pamięci, pilnie pracując. Wkrótce umiał doskonale dodawać po cztery do dwudziestu.

Wtem wbiegła siostrzyczka jego, Stasia, śliczne czteroletnie dziecko, o wielkich czarnych rozumnych oczach, zobaczyła przyrząd różnokolorowy w rękach Zbinia i poczęła nalegać:

— Co to jest, Zbinu? — pytała — pokaż mi, ja chcę zobaczyć, mój złoty, to taka śliczna zabawka, pokaż mi!

— Idź sobie — ofuknął niegrzecznie Zbigniew — nie przeszkadzaj mi, ja się uczę lekcji.

Stasia nastroiła minkę do płaczu.

— Ja tylko chciałam zobaczyć, pokaż braciszku, mój drogi!

I rączkę po przyrząd wyciągnęła.

Zbigniew schwycił dziecko za rączkę.

— A, co za nieznośna dziewczyna! — rzekł — kiedy ci mówię «precz», to idź zaraz!

To powiedziawszy, szarpnął siostrzyczkę za rękę i pociągnął ją, aby wyszła z werandy.

Stasia rozplakała się.

— Co się tutaj stało, czego Stasia płacze? — odezwał się naraz głos łagodny.

I na werandę weszła ładna, dorastająca dziewczynka. Była to Marta, siostra Zbigniewa i Stasi, najstarsza z rodziny. Zbliżyła się do młodszej siostrzyczki, przygarnęła ją do siebie i pocałowała czule.

— Nie masz ją za co pieścić—z gniewem mruknął Zbigniew — taka jest niegrzeczna, przeszkadza mi się uczyć.

— Chciałam tylko obejrzeć tę zabawkę, którą Zbinio trzyma — łkając, tłómaczyła się Stasia.

Marta spojrzała na przyrząd.

— Pokażże jej, Zbiniu—rzekła proszącym tonem — tyle starszy jesteś od niej, a zawsze się z nią drażnisz.

— Ani myślę; dziadzio obiecał mi, że pojedzie z nim do lasu, jeśli się nauczę rachować, muszę się więc uczyć.

— Wiem o tem, lecz do obiadu mamy jeszcze kilka godzin, więc masz czas się nauczyć, a ona tylko chwilę popatrzy i zaraz ci to odda.

— Nie nudź mię, proszę cię — odparł Zbinio i począł palcem przeliczać gałki.

— Obejdziemy się bez twej grzeczności — odparła poważnie Marta — nie płacz, Stasiu, opowiem ci śliczną bajeczkę.

Podniosła siostrzyczkę, postawiła na krześle, otarła jej oczy i uściskała czule.

Stasia przestała płakać, pocałowała siostrzyczkę i uśmiechnęła się do niej.

— Opowiedz bajeczkę, Marciu, opowiedz! — rzekła gładząc siostrę rączką po twarzy.

Marta wzięła ją na kolana, siadła w wygodnem krześle i opowiadać poczęła bajeczkę o jednym dobrym chłopcyku, który zobaczywszy bladą głodną dziewczynkę, siedzącą smutnie przed chatą, oddał jej własny podwieczorek. Stasia słuchała uważnie i zapomniała całkiem o mniemanej zabawce, Zbigniew zaś usunął się do ogrodu i tam się uczył dodawać. Właśnie nauczył się za-

danej lekcji, gdy zegar wydzwonił godzinę obiadową, pośpieszył więc do pokoju.

W jadalni już wszyscy byli zebrani. Zbigniew wszedł z miną tryumfującą, był pewnym, iż dziadus przywoła go zaraz do siebie. Lecz dziadus siedział w fotelu pod oknem czegoś smutny, nie spojrzął nawet na niego, a gdy matka zupełnie rozdała, podniósł się i milcząco zbliżył do stołu.

Podczas obiadu nie zwrócił się ani razu do Zbigniewa, rozmawiał z mamą jego, z ojcem, z Martą i Stasią, a z nim wcale nie.

— Co to znaczy? — myślał z niepokojem Zbigniew, ale czekał, aż go dziadzio wezwie.

Po obiedzie zwykle dzieci starszym dziękowały, całując każdego w rękę. Zbigniew zbliżywszy się do dziadka, rzekł:

— Już umiem zadaną lekcję, jeśli dziadzio sobie życzy, wydam ją.

Lecz dziadek, zamiast odpowiedzieć, wpatrzył się w niego ze smutkiem, po chwili zaś przemówił poważnie:

— Siedziałem blisko werandy i słyszałem twoje obejście się ze Stasią. Z dwojga złego wolałbym, żebyś się był nie nauczył lekcji, niż słyszeć, jak niegrzecznie odpowiadałeś starszej siostrze i widzieć, jak brutalnie postąpiłeś z młodszą. Zawsze ci mówię, chłopcze, że miłość rodzinna to skarb wielki; serca sióstr lub brata nikt ci nie zastąpi, bo te zostaną ci na całe życie, a takim postępowaniem, jak dzisiaj, zrazić sobie możesz serce rodzeństwa i ludzi, a potem źle ci będzie w życiu;

dałeś dzisiaj dowód, że siostr nie kochasz, że serca nie masz; ja samolubów także nie kocham.

To powiedziawszy, zwrócił się dziadzio do Marty:

— Wielką mi przyjemność zrobiłaś dziś dziewczynko — rzekł, całując ją w czoło — widziałem, że kochasz swoje rodzeństwo, pozostań taką zawsze, a ludzie kochać cię będą. Idź teraz do stajni, powiedz, by Józef zaprzął do kabryjoletu, pojedziesz ze mną do lasu... i Stasię weźmiemy z sobą.

O Zbigniewie ani wspomniał, wrócił pod okno i siadł znowu smutny, milczący w fotelu.

Chłopiec zwiesił głowę na piersi i wyszedł cicho do ogrodu; tutaj, gdy nikt nie patrzył na niego, rozplakał się, lecz nie tyle z żalu, że nie pojedzie do lasu, ile z przyczyny, że zasmucił dobrego dziadunia.

Gdy tak zmartwiony chodził jakiś czas po ogrodzie, usłyszał naraz głosy obu siostrzyczek wołające go. Ukrył się za drzewem, wstyd mu było im się pokazać; ale nawoływania były tak natarczywe i brzmiały jakos tak radośnie, że Zbigniew wyszedł z ukrycia.

— Czego chcecie ode mnie? — zapytał niechętnie.

Wtedy mała Stasia wzięła go za rękę, i ciągnąc, co sił starczyło, wołała:

— Chodź do dziadzia, pojedziesz z nami!

— Nie pójdę — powiedział Zbigniew — dziadzio się na mnie gniewa; wolę się nie pokazywać. Jedźcie sobie same!

— Dziadzio już się nie gniewa, a nawet żąda, abyś przyszedł — zapewniła go Marcia.

Zbigniew wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu z pewną bojaźnią poszedł z niemi.

Kiedy zarumieniony i zawstydzony stanął przed dziadkiem, ten ze smutkiem, ale łagodnie, rzekł do niego:

— Zasłużyłeś na to, abys się nie bawił z tymi, którym tak mało serca okazałeś. Widzisz jednak, jaka różnica jest w ich postępowaniu względem ciebie, jak one ciebie inaczej kochają, aniżeli ty ich. Oto właśnie ta mała Stasia, dowiedziawszy się, że ma ze mną pojechać do lasu, a ty masz zostać, zaczęła mię całować i prosić, abys i ty razem z nami pojechał. Marcia gorąco popierała jej prośby, zapewniając przytem, że nie będą miały żadnej przyjemności bawić się bez ciebie.

Widząc tę ich miłość dla ciebie i łzy w oczach, świadczące, jak cię pragną, przystałem na ich nalegania. Pozwalam przeto wyjątkowo tym razem, abys z nami pojechał. Spodziewam się jednak, że zrozumiesz to postąpienie sióstr i będziesz odtąd zgodny i uprzejmy dla całego rodzeństwa.

Wzruszony Zbigniew ucałował milcząco ręce dziadunia. Lecz z jaką radością objął starszą siostrę za szyję, jak ją czule ucałował i ile pocałunków złożył na milutkim buziaczkę Stasi, tego nawet zliczyć trudno.

Wybierały się też dzieci do lasu wesoło, a gdy konie ruszyły z przed ganku, to okrzykom nie było końca. A jak się rodzeństwo bawiło w lesie, jak się pieściły z małemi pieskami, które leśniczy im pokazał, jak gorliwie zbierały poziomki, jak wesoło siadły do podwieczorku, złożonego z mleka zsiadłego, z poziomek i z chleba razowego, który im podała pani leśniczowa, to wszystko niech sobie dzieci, czytające ten opis, w duszy wyobrażą.



Wrócili też uszczęśliwione do domu, a dziadunio był zadowolony, że wnuki bawiły się przez cały czas zgodnie i jedno drugiemu starało się przypodobać.

Jeden tylko Zbigniew był trochę zażenowany, bo czuł, że dzisiaj nie zasłużył na tę miłą przejażdżkę.

Wypadek ten jednak oddziałł zbawiennie na jego gniewliwe usposobienie i od tego czasu starał się zawsze być uprzejmym dla rodzeństwa i dla wszystkich, a ile razy się zapomniał, wtedy przyszło mu na myśl powyższe zdarzenie, które kochanego dziadunia zasmuciło i jemu samemu tyle przykrości sprawiło.

---

## OBRAŻONY.

---

Było to w roku 1858.

Przez ulicę szedł uczeń gimnazjum w mundurku z czerwonym kołnierzem, niosąc tekę z książkami pod pachą. W wyrazie twarzy i w niespokojnym ruchu malowało się wzburzenie. Prędko wszedł do sieni jednego z domów, szybko wbiegł na schody, a wpadłszy do pokoju, rzucił na stół z hałasem tekę i czapkę, i nie witając matki, która siedziała przy oknie szyciem zajęta, żywym krokiem począł się przechadzać.

Pani Wernerowa podniosła na niego łagodnie spojrzenie, w którym malowało się zdziwienie.

Co tobie, chłopcze? — spytała po chwili.

— Zły jestem — odparł Marjanek, rad, że mu ktoś uczynił zapytanie, czuł bowiem potrzebę wylania na zewnątrz żalu, który mu w sercu kipiał — pan Antoni za wiele sobie pozwala, a co nadto — to niezdrowo.

— Jaki pan Antoni? — spytała matka.

— No, Antoś Pomiarowski, zna go przecież mama, ten, co tak często do nas przychodzi.

— Cóż on ci takiego zrobił?

— Ubliżył mi; gdybym był dorosły, wyzwałbym go na pojedynek, ale niestety, nie mogę, mam dopiero trzy-  
naście lat... może być jednak pewnym, że go znać wię-  
cej nie będę, nie będę ani go witał, ani mówił do nie-  
go, ani bywać u niego nie będę.

— Za cóż to?

— Ubliżył mi, powiedział, że mój ojciec jest szwab,  
że przywędrował do Warszawy piechotą w pantoflach,  
a mamę i mnie w taczkach przywiózł... Nigdy, nigdy  
nie przebaczę mu tego!

Przy tych słowach siwe oczy chłopca z gniewu tak  
pociemniały, iż zdawały się być czarne.

— Marjanku! — z wyrazem przestrachu na twarzy  
odezwała się matka — jak możesz mówić: «nigdy nie  
przebaczę», czyż nie uczyłam cię przy lekcji religji, że  
«kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem», że do-  
bry chrześcijanin winien zawsze przebaczać urazy.

— To dobre dla kobiet, co mama mówi — odparł  
Marjanek — my, mężczyźni, obelg nie przebaczamy!

— To źle, bo Chrystus uczył wszystkich bez wy-  
jątku, tak mężczyźni, jak i kobiety, że przebaczać na-  
leży.

— Zaniechaj, on się uspokoi — odezwano się z dru-  
giego pokoju i w progu stanął pan Werner. — Natural-  
na rzecz, że się obraził, źle byłoby, gdyby go to nie  
obeszło, gdy ktoś odzywa się z lekceważeniem o jego  
rodzicach; ale mój chłopcze, nie bierz wszakże tych słów  
zbyt do serca. Nie zapieram się, iż z niemieckiej ro-  
dziny pochodzę, nie ubliża mi to przecież! Dziad mój,  
który tutaj z Prus przybył, czuł się Niemcem i był  
wistocie biednym, gdy przyjechał; powoli dorobił się

majątku, lecz dorobił się go uczciwym sposobem i ciężką pracą. Przytem był wdzięczny tej ziemi, której los swój zawdzięczał i w serca dzieci wszczepił do niej przywiązanie. Ojciec mój już uważał się za polaka, a ja tem więcej, bo tu się urodziłem, tu wychowałem, matkę miałem polkę, w domu słowa po niemiecku nie słyshałem i prócz nazwiska nic we mnie niemieckiego nie ma... Lecz raz jeszcze powtarzam, iż się nie dziwię, że słowa kolegi obraziły cię, bo nie rzecz sama, ale sposób, w jaki były powiedziane, ubliżył ci.

— A widzi mama, że ojciec moją stronę trzyma— odezwał się Marjanek z widocznym zadowoleniem— ani myślę więcej się przyjaźnić z panem Antonim, będziemy teraz bardzo zdaleka od siebie.

To powiedziawszy, zabrał tekę i czapkę, porzucone na stole i udał się do swego pokoju.

W istocie Marjanek unikał odtąd starannie spotkania się z Antosiem; uczęszczali oni do jednego gimnazjum, w jednej uczyli się klasie, zmuszeni byli przeto spotykać się codziennie, lecz Marjan udawał zawsze, że nie widzi kolegi, nie witał się z nim więcej, nie zaczepiał go ani żartem, ani zapytaniem i nie mówił o nim nigdy ani w domu, ani z innymi kolegami, słowem czynił, tak, jak gdyby Antoś dla niego nie istniał.

Antoś żywy, nieuważny w słowach, miał dobre jednak serce, więc zaraz na drugi dzień po nieporozumieniu z Marjanem chciał się z nim pogodzić i kilka razy do niego podchodził; lecz widząc, że tamten odwraca się od niego, zaniechał zamiaru; był mu wszakże przykry ten stosunek i przed kolegami mówił:

— Było też o co tak się obrazić, wielka rzecz, iż ojca jego szwabem nazwałem, toć przecież wszystko jedno szwab, czy Niemiec, a że z niemieckiej pochodzą rodziny, tego się nie zaprze...

— Ale ani ojciec jego ani on nie są już Niemcami — tłumaczyli koledzy.

— To też żałuję tego, co w zapale powiedziałem i chciałbym go przeprosić, ale on nie chce nawet na mnie patrzeć — mówił Antoś.

Pewnego popołudnia chłopcy wyszli całą gromadką z gimnazjum, a z nimi Antoś i Marjanek, którzy mieszkali na tej samej ulicy; lecz Marjanek szedł jeden z pierwszych, Antoś jeden z ostatnich.

Na ulicy Hożej, przez którą dążyli na Kruczą, musieli zejść z chodnika, gdyż murarze bielili kamienicę. Podniósłszy wzrok w górę, chłopcy przypatrywali się z zajęciem robotnikom, stojącym na niezbyt wygodnym rusztowaniu; pracowali oni pilnie, a jednak wesoło żartowali, czego dowodem były głośne wybuchy śmiechu, jakie z rusztowania na dół dochodziły.

Wtem z ust gimnazystów wyrwał się okrzyk zgromy: jeden z murarzy, żartując z kolegami, cofnął się z nadto raptownie w tył, zapomniał, jak wążka jest deska, na której stał, zachwiał się nagle i w tejże chwili spadł na ziemię. Chłopcy pędem przybiegli do niego, a Marjan i Antoś, nie radząc się jeden drugiego, co trzeba robić, spojrzawszy na nieszczęśliwego leżącego na ziemi, pobiegli natychmiast jeden po dorożkę, drugi po stróża i obydwaj pomagali wnieść rannego do dorożki.

Murarz strasznie wyglądał, cały był krwią oblan, twarzy jego widać nie było, prawie nie oddychał.

— Jak on się nazywa, gdzie mieszka? — zapytał przystępujący policjant innych robotników, którzy ze smutną twarzą i przestraczem otoczyli dorożkę.

— Jan Dorosz, mieszka na Zapiecku pod Nr. 10 — odparło kilku.

— Jan Dorosz, Zapiecek, Nr. 10 — powtórzył półgłosem Antoś.

Marjan spojrzał na niego zdziwiony, lecz nie zapytał, dlaczego ten sobie powtórzył adres rannego. Dorożka skierowała się w stronę szpitala «Dzieciątka Jezus», a chłopcy podążyli na Kruczą, rozmawiając ze współczuciem o wypadku dopiero co zaszłym. Marjan szedł sam naprzód.

Cały dzień stał mu przed oczami ten biedny murarz, krwią oblany, o nim tylko myślał, o nim tylko mówił, z trudnością nawet uczył się tego dnia lekcji, bo straszne wspomnienie ciągle mu przeszkadzało.

Było już po herbacie u państwa Wernerów, lecz wszyscy jeszcze siedzieli przy stole, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek, Marjanek pośpieszył otworzyć.

— A to jakaś późna wizyta! — rzekł.

Do przedpokoju wszedł jeden z jego kolegów, Staś Doliwa. Marjan chciał go pociągnąć do saloniku, lecz gość oparł się.

— Nie mogę, nie mogę, bo jeszcze muszę być dziś u dziewięciu kolegów — tłómaczył się. — Pomiarowski prosił mnie, abym był u ciebie; chce on urządzić loterję dla rodziny tego nieszczęśliwego murarza, który dziś rano w naszych oczach spadł tak okropnie z rusztowania; podobno biedny już umarł w szpitalu i zostawił pięcioro drobnych dzieci. Poczciwy Antoś tak się wzru-

szył tym wypadkiem, że jak tylko policjant zabrał do dorożki tego biedaka, poszedł natychmiast do jego mieszkania. Żona zabitego, gdy się dowiedziała o nieszczęściu, jakie ją spotkało, zaczęła rozpaczać i płakać, narzekając, z czego żyć teraz będą biedne jej dzieci. Antoś chce koniecznie urządzić loterję, obiega kolegów, aby ich na nią namówić, a i ciebie prosi, abys poszedł do kilku. Dostał na imieniny od ojca złoty zegarek, chce go puścić na loterję, a ojciec na to zezwala. Bilety będą po złotemu; jest nas wszystkich razem w gimnazyum pięciuset, jeżeli każdy weźmie jeden bilet, uzbieramy 75 rubli i biedna wdowa po murarzu będzie miała tymczasem pomoc.

— Z panem Antonim nie mam nic wspólnego — odparł Marjanek — gdyby to kto inny urządził, z pewnością zająłbym się, ale tak nie mogę.

— Więc odmawiasz? — spytał Staś.

— Odmawiam.

— A niech cię nie znam — zaklął poczciwy chłopak. — Mówią, że litwini zacięci są w gniewie, nie potrafiłbym jednak być tak zawziętym, jak ty.

To powiedziawszy, skinął głową, wyszedł za drzwi i wkrótce słyhać było, jak zbiega szybko ze schodów.

Marjan zwrócił się ku jadalni, lecz w progu drzwi ujrzał ojca: pan Werner stał w nich chmurny i smutny...

— Chyba źle słyssałem — rzekł — możeż to być, abys nie chciał przyłożyć ręki do dobrego uczynku?

— Ojciec wie przecież, że się poróżniłem z Pomiarowskim — odparł Marjanek.

— Wiem, że cię obraziło niestosowne odezwanie się jego — rzekł pan Werner — czas był już wszakże

zapomnieć o tem. Pomiarowski daje w tej chwili dowód, że zasługuje, by mu dłoń podać i uścisnąć ją z szacunkiem, bo działa, jak zacny chłopiec; w takim razie osobista uraza maleje w oczach moich.

Marjan stał ze spuszczonei oczami i nic nie odpowiadał, znać było wszakże z jego miny, że ojciec go nie przekonał.

Pan Werner popatrzył chwilę na niego, a potem odezwał się znowu:

— Bardzo siebie kochasz, Marjanie i bardzo się wysoko cenisz. Dlatego, że Pomiarowski ubliżył ci słowem, nie chcesz poprzeć zacnego dzieła, do którego on podał myśl? Dla ciebie niech ginie z głodu biedna rodzina... nie chcesz nawet wtedy wyrzec się miłości własnej i podać ręki temu, o kim wyrzekłeś, że zrywasz z nim nazawszel... A czy wiesz, chłopcze, że umieć przebaczyć, gdy tego dobro innych wymaga, to dowód stokroć większej siły charakteru, niż zachować gniew w sercu do końca życia... Ale to nasza wada narodowa, iż swoje osobiste względy zawsze wyżej nad wszystkie inne stawiamy... Poróżnił się pan Jan z panem Wincentym przy biesiadzie, przysięgli wobec braci, iż odtąd wrogami będą sobie, i niestety! dotrzymywali słowa; pan Jan wnosi projekt, który mógłby tysiące ludzi uszczęśliwić, uznaje to w duszy pan Wincenty, lecz go nie popiera, a nawet odwodzi od niego innych, bo projekt ten podał jego wróg, pomimo że tysiące ludzi na tem cierpią... Wy młodzi tworzycie mały świątek, z którego wnosić można, jakie będzie przyszłe nasze społeczeństwo; sam osądź, czyśmy się poprawili z wad, jakie kraj zgubiły...



To samo i teraz, pan Antoni i pan Marjan poróżnili się kiedyś ze sobą i przysięgli, iż od tej pory znać się nie będą, tymczasem zbiera się narada nad niedolą bliźniego, nad losem rodziny zabitego murarza; pan Antoni rzuca szlachetny projekt, który ma zbawić od głodowej śmierci pięcioro drobnych dzieci, pan Marjan uznaje, iż projekt jest szlachetny, mimo to usuwa się i powiada, że go nie poprze ani słowem, ani czynem, bo projekt ten podał wróg jego osobisty! Nie potrafiłbym tak odstąpić i powtarzam, że mnie to boli, iż syn mój jest samolubem do tego stopnia, że miłości własnej poświęcić nie chce dla dobra nieszczęśliwych bliźnich.

To powiedziawszy, pan Werner oddalił się do swego pokoju. Marjan stał chwilę na miejscu milczący, zamysłony, poczem zwolna skierował się ku oknu i długo wpatrywał się w jasne błękity, gwiazdami zasiane.

Matka jego już odeszła do swego pokoju, już pogasiła nawet światła w mieszkaniu, gdy chłopiec wreszcie odstąpił od okna, obejrzał się wokoło, a widząc, że ciemno w saloniku, chciał pójść spać; wtem spostrzegł na podłodze jasną smugę światła; smuga ta wychodziła z drzwi prowadzących do gabinetu ojca.

— A więc ojciec jeszcze nie śpi — rzekł sam do siebie — pójdę do niego; uchylił drzwi i stanął w progu.

Pan Werner siedział przy biurku, zajęty pisaniem rachunków; Marjan zbliżył się.

— Przekonałeś mnie, ojczy — rzekł — byłoby to nieszlachetnie z mej strony, gdybym nie wziął udziału w loterji, jaką zamierza urządzać Pomiarowski; jutro zaraz pójdę do niego i sam się porozumiem.

To powiedziawszy, ucałował ramię ojca.

Rozjaśniła się twarz pana Wenera.

— Zwycięstwo nad samym sobą, to dowód silnego charakteru — rzekł — wielką mi radość sprawiłeś chłopcze w tej chwili.

Przy tych słowach uściśnął syna:

Nazajutrz, a była to niedziela, Marjan już o ósmej zrana pobiegł do Pomiarowskiego. Wchodząc, podał mu zaraz dłoń i rzekł:

— Rozbroiłeś mnie twoją szlachetnością, przychodzę podać ci rękę do zgody i powiedzieć, że chętnie pomogę ci w urzędzeniu tej loterji. Zaraz pójde do innych uczniów namawiać ich, by bilety kupowali, powiedz mi tylko, do których mam iść, skoro ty się tem zajmujesz.

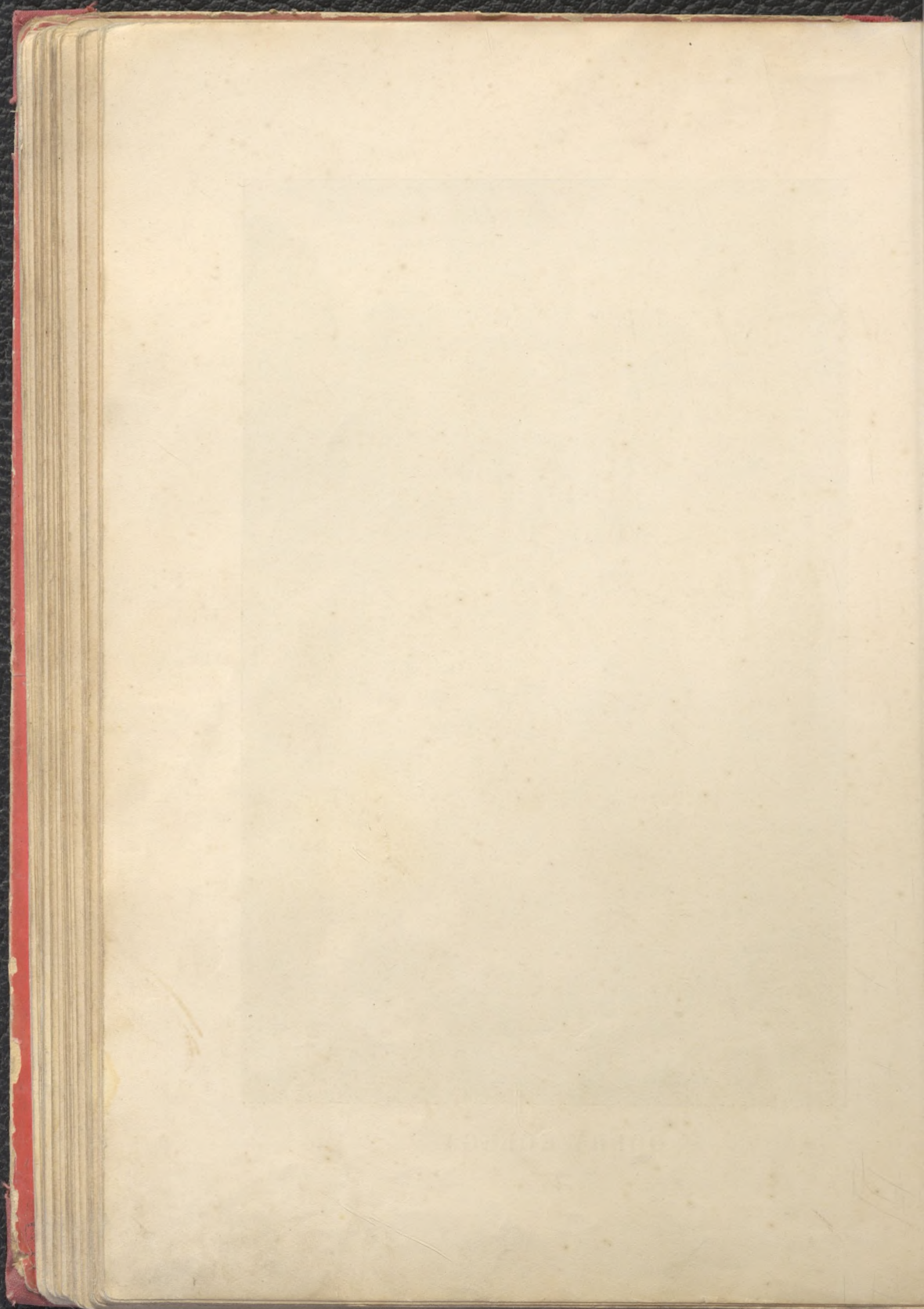
Antoś wyciągnął z radością obie ręce do kolegi i uściśnęli się podawnemu serdecznie.

— Przebacz mi, mój drogi Marjanku, że cię tak nieogłędnie obraziłem; bardzo żałowałem tego, a jeszcze więcej, żeś się nie dał przeprosić i ciągle mnie unikałeś. Była to dla mnie dotkliwa kara. Jakże się cieszę, że jesteśmy znowu przyjaciółmi!

I chłopcy zaczęli razem radzić nad loterją i przygotowywać numery.



DOBRY KOLEGA.



## DOBRY KOLEGA.

---

Dawno już, bardzo dawno temu, za Alejami Jerozolimskimi w Warszawie rozciągał się duży, pusty plac, w pobliżu którego wznosił się mały drewniany domek, a za tym domkiem widać było cienisty ogród, kratami żelaznymi oddzielony od ulicy. Pusty plac był ulubionym miejscem zebrań uczniów gimnazjum; zwykle po obiedzie schodziły się tutaj całe ich gromadki, by gonić piłkę, lub gawędzić razem, a piękny ogród był codziennym przedmiotem ich podziwu. Bo wspaniałe były cieniste drzewa, które tam rosły, pięknymi kwiaty, jakie wiosna, lato i jesień w nich rozwijały, a wśród drzew i kwiatów widać było przez żelazne kraty wielki staw, po którym pływały lśniące białości łabędzie.

Pewnej soboty, już o godzinie drugiej popołudniu zebrał się na placu liczniej niż zwykle uczniowie niższych klas, sami mali chłopcy od ośmiu do dwunastu lat; uzbroiwszy się w kije, podzielili się na dwie partje i niby to bój z sobą toczyli. Wesoło szła zabawa, czas leciał, jak na skrzydłach, minęło niepostrzeżenie parę godzin, trzeba było wracać do domu.

— Już czwarta—odezwał się Staś—muszę uciekać; o wpół do piątej mamy dziś wszyscy jechać na Saską Kępę Łódka; mówiła mi mama, żeby się nie spóźnić.

— Jeszcze niema czwartej—odpowiedział Józio, kolega i rówieśnik Stasia, również jak on drugo-klasista, i wydobyl z kieszonki kamizelki wielki srebrny zegarek, którym lubił się chwalić przed kolegami — dopiero wpół do czwartej.

— A cóż będziemy teraz robili? — zapytał Staś — bój skończony, nowej gry niewarto zaczynać.

— Odważmy się przejść za kratę tego ogrodu, musimy przecie raz się przekonać, czy wistocie jest tak piękny, jak się stąd wydaje — odparł Józio.

Staś zawahał się, czy posłuchać wezwania Józia, czy też wrócić do domu. Wtem ujrzał zdala idącego przyjaciela swego, również kolegę, lecz którego kochał bardziej, aniżeli innych.

— Czekajcie! — zawołał — zaraz powrócę, przywiode wam jeszcze jednego.

I pośpieszył ku idącemu. Był to blady, szczupły chłopiec o smętnym wyrazie twarzy, zwany przez kolegów Gustawem pustelnikiem. Samotne wistocie wiódł on życie, rzadko bardzo brał udział w wesółych zabawach kolegów; zjawienie się jego tutaj było prawdziwą niespodzianką. Syn biednej szwaczki, bezpłatnie przyjęty do szkoły, nie miał czasu na zabawę po obiedzie: zwykle dawał w tym czasie korepetycje mniej zdolnym od siebie, pierwszo i wstępno-klasistom. Ojciec jego był niegdyś nauczycielem kaligrafji, lecz od paru lat już nie żył; wspólnie więc z matką pracowali na swoje utrzymanie. Pomimo swej biedy i powagi Gustaw był lubia-

nym przez kolegów, to też, gdy zobaczyli, z kim się Staś wita, wszyscy razem wołać poczęli:

— Gustaw! Gustaw pustelnik! — potem pobiegli do nich i otoczyli obydwóch przyjaciół.

— Chodź z nami! — wołali.

— Nie mogę — odparł Gustaw — mam zlecenie od matki, obiecałem jej odnieść tę paczkę; — tu pokazał niewielkie zawiniątko.

— To później odniesiesz — poczęli wołać chłopcy — musisz z nami pójść.

Ujęli go pod ręce i ciągnąć poczęli. Gustaw śmiał się, zrazu stawiał im opór, lecz nareszcie rzekł:

— Puście mnie, pójdę z wami, ale długo nie zabawię; powiedzcie wszakże, gdzie chcecie, abym poszedł?

Józio wskazał ręką w kierunku ogrodu.

— Alboż tam wolno? — spytał Gustaw.

— Brama otwarta, spróbujemy; nigdyśmy tam nie byli, warto coś nowego zobaczyć, a gdy powiedzą, że niewolno, to się wyniesiemy.

— Więc chodźmy — rzekł Gustaw.

I skierowali się razem wszyscy ku ogrodowi. Brama wistocie była rozwarta i nikogo w niej nie było.

Pan Sulicki, właściciel pięknej willi, wybudowanej w tym ogrodzie, wyjechał przed parą dniami zagranicę, służba mniej przeto pilnie, niż zwykle spełniała swe obowiązki. Chłopcy weszli do ogrodu; pięknie tu było, jaśminy i róże, które po dwóch stronach rosły gęsto, rozlewały woń balsamiczną, w pośrodku rozścielał się wielki trawnik miękki jak kobierzec, na nim werbeny, goździki, lewkonie, oraz inne kwiaty, tworzyły desenie; poza trawnikiem wznosił się piękny murowany pałacyk.

Przed pałacem stały olbrzymie cytryny i pomarańcze, na których świeciły owoce. Chłopcy chodzili po ogrodzie, ciekawie przyglądając się wszystkiemu.

— Warto by zajrzeć przez okna do pałacu, jak tam urządzone — odezwał się Józio.

Myśl ta podobała się innym chłopcom.

— A zobaczymy! — rzekli.

— E, dajcie lepiej pokój temu — począł perswadować Gustaw.

Lecz głosu jego nikt nie posłuchał; poszli wszyscy.

Nie chcąc zasłużyć na nazwę niekoleżeńskiego, Gustaw pociągnął za innymi.

Przed pałacem nie spotkali nikogo, zuchwalsi podsunęli się więc pod same okna i wspinając się na palce, zaglądać poczęli do wnętrza pałacu. Staś i Gustaw weszli na wielkie doniczki cytryn, uchwycili się za grube ich pnie i także ciekawie spoglądali w okna. Ponieważ paczka, jaką Gustaw trzymał, przeszkadzała mu, przeto położył ją na donicze, a obiema rękami trzymał się pnia drzewa.

— Patrzcie, patrzcie, w tym pokoju są ściany porcelanowe — wołał Józio — jak mamę kocham, porcelanowe!

— A widzisz tego chińczyka, co siedzi nad kominkiem i głową kiwa — rzekł Staś — wyciągnąwszy palec w kierunku okna; ach, jaki on śmieszny!

— Chciałbym mieć takiego złotego konika, jak ten, co stoi na kominku — odezwał się Michaś, który stał przy Józio.

— A, wy łobuzy, czego tutaj chcecie? Po cytryny sięgacie! — odezwał się naraz głos gruby, i z poza krze-



wów wysunął się mężczyzna w granatowym surducie ze złotemi guzikami.

Był to kamerdyner państwa Sulickich.

Skierował się jednocześnie ku doniczce, na której stał Staś, i jako najbliższego chciał uchwycić za rękę.

Chłopczy, usłyszawszy tak straszne oskarżenie, przerażili się i w pierwszej chwili osłupieli, a Józio, nie namyślając się krzyknął:

— Uciekajmy!

Usłuchali natychmiast tego porywczego rozkazu i rozbiegli się prawie w okamgnieniu w rozmaite strony ogrodu, dążąc następnie ku bramie. Stało się to tak nagle, że kamerdyner żadnego pochwycić nie zdołał. Inni umknęli, ale pozostał Gustaw, który chciał wprzód zabrać paczkę, leżącą na doniczce; właśnie schylał się po nią, mając zamiar podążyć za innymi, gdy uczuł, że mu zrywają czapkę z głowy i chwytają za rękę.

— A tuś mi, hultaju! — rzekł kamerdyner — toście tu rabować przyszli, dam ja wam! Jak się nazywasz, łotrze?

Gucio wyprostował się, twarz jego była biała, jak płótno.

— Nazywam się Gustaw Żabicki, nie przyszliśmy rabować ogrodu, chcieliśmy go tylko obejrzyć, a łotrem nie jestem, proszę pana — odparł z godnością.

— Obejrzyć ogród, widzicie ich, myślisz, że uwierzę, no sprawdzi się to... Kto jest twój ojciec?

— Był nauczycielem, lecz już nie żyje.

— A matkę masz?

— Mam.

— Z czego się utrzymuje?

— Robi kapelusze i inne stroje kobiece.

— Gdzie mieszkanie?

— Przy ulicy Zielnej pod Nr. 4.

— Do którego gimnazjum chodzisz?

Gucio wymienił gimnazjum.

— Zapiszę ja to wszystko sobie, pamięć mam dobrą; a teraz powiedz mi nazwiska tych twoich kolegów, którzy uciekli, potem cię puszcze.

— Przepraszam pana, lecz tego nie zrobię — odparł Guccio — wydawać kolegów byłoby podłością.

— Co, co? nie powiesz? no zobaczymy, jak cię zamknę do kozy, wyśpiewasz wszystko. Gadaj zaraz!

To powiedziawszy, kamerdyner wlepił w twarz chłopca pełne gniewu spojrzenie.

— Nie powiesz? — zapytał zniżonym głosem.

— Nie powiem — odparł Guccio spokojnie lecz stanowczo.

— A więc chodź ze mną, oddam cię temu, który powinien wiedzieć, jakie to ptaszki odwiedzają ogród.

To powiedziawszy, pociągnął bladego chłopca za sobą. Guccio nie opierał się. Kamerdyner skierował się ku bramie ogrodu, minął ją i wyszedł na ulicę. Guccio spuścił oczy, szedł za nim bez czapki jak istotny winowajca; zdawało mu się, że przechodzący pokazują go sobie palcami, mówiąc:

— Do kozy idzie!

Drżał, obawiając się, aby który z profesorów nie spotkał go, serce biło mu w piersiach jak młotem, nie patrzył nawet, gdzie go ten okrutny człowiek prowadzi. Nareszcie doszli do drewnianego domku, wznoszącego się za ogrodem; mieszkał w nim ogrodnik państwa Sulickich.

Gdy stanęli przed drzwiami, kamerdyner zwrócił się do Gucia:

— Powiesz nazwiska twoich kolegów? — zapytał — czy nie?

— Nie powiem — zabrzmiała krótka, stanowcza odpowiedź.

— A zatem pójdiesz do kozy.

To mówiąc, zadzwonił, drzwi się otworzyły i w progu ukazała się młoda dziewczyna, wyglądająca na służącą.

— Czy pan jest w domu? — zapytał.

— Niema go, wyszedł na miasto, powróci za parę godzin — odparła dziewczyna — dzisiaj są urodziny naszej pani, poszedł więc gości zaprosić.

— Szkoda — mruknął kamerdyner i zamyślił się — to jednak nie przeszkadza — odezwał się po chwili — schwytałem w parku złodzieja, sięgał po cytryny; zamknijcie go do kozy i trzymajcie, póki pan nie powróci.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona na Gucia. Szlachetna i smutna jego twarzyczka, wytarty, lecz starannie wyczyszczony i połatany mundurek świadczyły przeciw rzuconemu nań oskarżeniu; lękała się jednak być nieposłuszną, kamerdyner stał i czekał widocznie, by spełniła jego polecenie.

— Biedny chłopiec — pomyślała, a głośno rzekła:

— Proszę iść za mną.

Gucio skierował się za nią ze spuszczoną głową, kamerdyner szedł zdala za nimi. Dziewczyna zaprowadziła chłopca do pokoju ogrodnika, z którym łączyła się ciemna komórka, otworzyła ją i zwróciwszy się do Gucia, rzekła, patrząc nań ze współczuciem.

— Niech pan wejdzie.

Gucio nie opierał się, drzwi skrzypnęły, klucz zgrzytnął w zamku i biedny niewinny chłopiec został sam. Głośno łkając, rzucił się na jedno z krzesel w ciemnej komórcie stojące; był oburzony niesprawiedliwym obejściem się kamerdynera, zarzutami, jakie mu uczynił, wstydził się swego położenia, z niepokojem myślał o matce, która go posłała z paczką i po pieniądze za robotę, a teraz próżno wyglądać go będzie.

Godziny, jakie mijały, wydawały mu się długimi do nieskończoności, a cisza, jaka go otaczała, przerażająca; gdyby chociaż mógł wiedzieć, co go czeka w przyszłości, żeby mógł dać znać matce, co mu się przytrafiło, że zlecenia jej nie spełnił i paczki na czas nie oddał!...

— Gdybyś był powiedział nazwiska kolegów, nie siedziałbyś tutaj—szepnął mu jakiś głos tajemniczy.

Lecz szlachetna jego natura wnet oburzyła się na ten głos.

— Lepiej cierpieć, niżeli być tchórzem... — rzekł z siłą i przestał płakać, otarł łzy i czekał z rezygnacją, co dalej będzie.

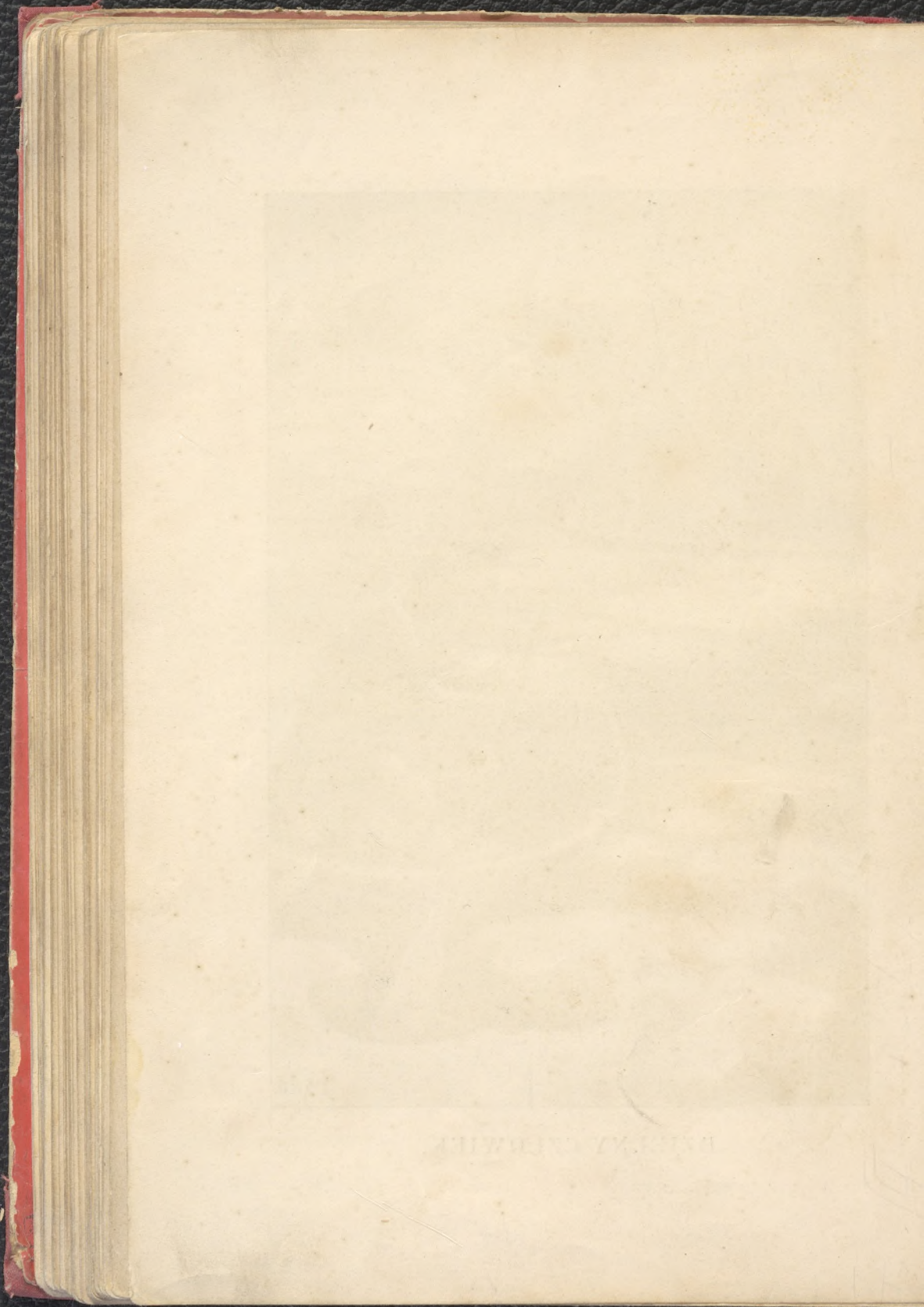
Powoli wieczór zapadał, słońce chyliło się ku ziemi, rzucając purpurowe blaski. Lecz Gucio nie wiedział o tem, bo w ciemnej komórcie ciągnęła noc panowała; sen począł go już morzyć, gdy wtem zastanowiły go słowa wyrzeczone w pokoju, łączącym się z komórką.

— Anno — mówił głos kobiecy — czy pani Żabicka nie przysłała mego czepka?

— Nie, pani—odparł ktoś, a Guciowi się zdało, że to odpowiedziała dziewczyna, która go zamknęła — nikogo nie było dziś u nas od pani Żabickiej.



DZIELNY CZŁOWIEK.



— Niedobra kobieta, myślałam, że jest uczciwa, tymczasem widzę z przykrością, że tak nie jest... Kto obiecuje, a nie dotrzymuje słowa, tego uczciwym nazwać nie można.

Gucio zerwał się z krzesła, uderzył się ręką w czoło.

— A, mój Boże! to o mnie i o mojej mamie mowa, ależ to okropne! a ten czepek został w ogrodzie, muszę się stąd wydobyć i odnaleźć go—rzekł sam do siebie i począł lekko kołatać do drzwi.

— Na miłość Boską, kto tam stuka?—zawołała przestraszona pani Wincentowa. Była to bowiem żona ogrodnika państwa Sulickich.

Anna rozśmiała się.

— Więzien—odparła i zbliżyła się do komórki, przyłożyła usta do dziurki od klucza:

— Cierpliwości! — rzekła — pan wróci niedługo.

I opowiedziała pani o tem, jak kamerdyner oddał pod jej opiekę małego winowajcę.

Lecz pani, która rozmawiała, znowu powiedziała:

— Ha, biedny chłopiec, musi czekać, aż mąż mój powróci, to się wszystko wyjaśni. Ale co ja pocznę bez czepka. Goście zaczną się wkrótce schodzić, jak ja do nich wyjdę w nieświeżym czepku! A tak mi przyrzekała, że przyśle na godzinę czwartą, tak zapewniała, że syn jej odniesie mi go z pewnością.

Gucio słysząc wszystko, zaczął znowu mocno kołatać.

— Proszę mi otworzyć dzwi, a opowiem, co się stało z owym czepkiem! — krzyknął.

Pani ogrodnikowa spojrzała na Annę wymownie.

— A to mały łobuz—rzekła—on woła, że coś wie o moim czepku, sprytnie chce się z kozy wydobyć.

Gucio nie słysząc żadnej odpowiedzi, zakolał po raz trzeci i dobywając z całej mocy głosu, wołał dalej:

— Jestem synem pani Żabickiej, która robi czepek i kapelusze; niosłem właśnie ten czepek dla pani, gdy mnie pochwycono najniewinniej.

— Otwórz! otwórz Anno! — zabrzmiała tym razem odpowiedź.

Klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się rozwarły i zapłakany Guccio stanął przed ogrodniczką.

Była to kobieta już poważna wiekiem, o łagodnym wyrazie twarzy. Widząc splakanego ucznia w mundurku, spojrzała nań ze współczuciem.

— Jakimże sposobem ściągnąłeś na siebie tak brzydkie podejrzenie, biedne moje dziecko? — zapytała spokojnie.

Gucio począł nanowo łkać, uspokoił się jednak powoli i opowiedział całą przygodę.

— A jak się nazywają twoi koledzy? — spytała ogrodnikowa, głaszcząc jasne włosy chłopca.

— Jak się nazywają? Nie, tego nie powiem ani jemu, ani pani, ani nikomu na świecie — odparł Guccio — niech mnie pani o to nie pyta, lecz proszę, niech mi pani pozwoli pójść do ogrodu poszukać czepka; on tam leży na doniczce; biedna moja matka byłaby bardzo zmartwioną, gdyby zginął; powiedziała do mnie nawet, gdym wychodził:

— Przynies mi Gustawie pieniądze, bo w domu nie ma ani grosza... O, czemuż ja uległem namowie kolegów, czemu poszedłem z nimi!

Pani Wincentowa spojrzała na niego z politowaniem.



— Łzy nie odmieniają tego, co się już stało — rzekła — innym razem nie słuchaj kolegów, gdy cię do złego namawiać będą, a teraz idź do ogrodu i poszukaj paczki, ale wróć tutaj zaraz.

Smutna twarz Gucia rozjaśniła się, pocałował ją w rękę, wybiegł śpiesznie z drewnianego domku i jak strzała wpadł do ogrodu; paczka leżała na tem samym miejscu, na którym ją położył, pochwycił ją i wrócił śpiesznie do pani Wincentowej, która ucieszona otrzymaniem czepka na czas, zapłaciła mu natychmiast należność, a nawet zaprosiła na podwieczorek.

Gucio przeproszał, że nie może zostać, że musi matce odnieść pieniądze, ale ogrodniczka nie chciała go puścić.

— Odeślę zaraz twojej mamie pieniądze, ale musisz u nas zostać...

Mąż jej powrócił właśnie do domu. Kiedy się dowiedział o całym zajściu, ucałował Gucia w czoło i rzekł:

— Wyrośnie z ciebie porządny człowiek, jesteś zuch!

Właśnie usiedli wszyscy do stołu i jedli z apetytem kwaśne mleko z kartoflami, a śmiejąc się, wspominali przygodę Gustawa, gdy w progu stanął kamerdyner, który przyszedł dowiedzieć się, jak ogrodnik ukarał «małego łotra».

Ujrawszy Gucia, siedzącego przy stole, zdziwił się i nachmurzył.

— A to co znaczy? — rzekł, wskazując palcem na chłopca.

Ogrodnik otarł wasy mlekiem zawalane, uśmiechnął się i postąpiwszy naprzeciwko wchodzącego, rzekł:

— To znaczy, że się omyliłeś, panie Józefie i szlachetnego chłopca posądziłeś o czyn, którego nie potrafiłby się dopuścić, przeproś go i siądź z nami do podwieczorku.

— Jakto omyliłem się, pocóż więc przyszli do ogrodu? Przecież schwytałem tego łobuza na doniczece, gdy sięgał po cytrynę.

Gucio powtórzył wszystko jak najwierniej.

— A nie wydasz kolegów? — zapytał go Józef — wszakże już teraz, skoro się wytłómaczyłeś i pan ogrodnik cię uwolnił, nie im nie grozi.

— Niech pan wybaczy, ale wolę zamilczeć ich nazwiska — odparł Guccio.

— Tak, tak, nie mów nikomu, jak się nazywają — rzekł ogrodnik — wytrwaj do końca!

I nie powiedział Guccio nikomu.

Koledzy jednak dowiedzieli się wszystkiego od pani Wincentowej, do której raz po zabawie wstąpił Staś, jako znajomy, na szklanek mleka. Ta zapytała go, czy nie zna Gustawa Żabickiego, i opowiedziała mu, jak szlachetnie postąpił Guccio.

Koledzy oddawna kochali Gustawa Pustelnika, a teraz szanowali go. Opowiedzieli o jego postępkach w domu, a matki ich i siostry postanowiły wspierać matkę Gustawa daniem jej roboty. Odtąd nigdy nie brakło roboty biednej wdowie; wkrótce musiała powiększyć swoją pracownię i od tego czasu wiodła z synem życie spokojne c jutro.

---

## STEFAN I JEGO PIES.

---

W malowniczej okolicy Krakowskiej, u stóp Karpat, wpośród cienistego parku, wznosił się piękny, stary pałac, który po śmierci właściciela został wystawiony na sprzedaż... W tym samym czasie przybył do Krakowa bogaty amerykańsin, pan Stanton, z żoną i dwiema córeczkami, z zamiarem pozostania jakiś czas w tych stronach. Przeczytawszy w pismach ogłoszenie, że Zalesie — tak się zwała owa miejscowość, jest do sprzedania, pojechał, by ją obejrzyć; podobała mu się bardzo, kupił więc ją i w jakiś czas potem przywiózł do niej żonę i córeczki. Pani Stanton była z tego nabytku bardzo zadowolona i rozgościła się w Zalesiu, zachwycając się malowniczym jego położeniem.

Niewiele jednak czasu spędzał pan Stanton w nabytej miejscowości, całymi tygodniami nie było go w domu, ustawicznie gdzieś wyjeżdżał, lecz gdzie, o tem prócz jego żony nikt nie wiedział. Za każdym też powrotem męża do domu, pani Stanton wypytywała go.

— Nic się nie dowiedziałeś?

— Nie, przypadł jak kamień w wodę rzucony, ale jeszcze się będę dowiadywał.

Jakiś smutek tajemniczy ciążył nad tą rodziną; oboje państwo Stanton byli zawsze zamyśleni, często prowadzili ze sobą tajemne rozmowy, a nieraz nawet widzieć można było panią Stanton tak smutną, jakby jakaś ciężka boleść ją przygniała.

Zato córeczki ich, siedmioletnia Iza i dziewięcioletnia Mania były uosobieniem wesołości, a wychowane w przemyśle i handlowym mieście Ameryki, pełnem ruchu i hałasu, rozkoszowały się obfitującym w cień i zieloność parkiem Zalesia. Wesołe ich głosy ciągle się rozlegały to piosnką, to śmiechem; szczęśliwe, swobodne, biegały, skakały wśród kwiatów ogrodu i łąki i nie domyślały się, że jakaś bolesna tajemnica dręczy ich rodziców. Tak przywykły do ich smutnych twarzy, że nawet nie pytały, co im jest.

Dziewczynki mówiły po angielsku z ojcem, a po polsku z matką, która będąc sama polką, wyuczyła swe dzieci przedewszystkiem swego ojczystego języka.

Chociaż pałac, w którym mieszkały, stał samotnie, otoczony lasami i odgradzony od innych posiadłości Wisłą, która tutaj wspaniale płynęła, jednakże dziewczynki znalazły wkrótce towarzystwo stosowne do ich wieku.

Wśród świerków i jodeł lasów, otaczających Zalesie, wznosił się skromny domek, ozdobiony rogami jelenia, na znak, że mieszka w nim leśniczy.

Pewnego dnia zapuściwszy się z niańką w głąb lasu, dziewczynki zabłądziły i były już w wielkim strachu, gdy spotkały dziesięcioletniego chłopczyka o dużych czarnych oczach i blond włosach, który szedł z psem przez las.

— Mój chłopczyku — powiedziała Mania — którą można wyjść z lasu, bośmy zabłądziły?

— A gdzie panienki mieszkają? — zapytał.

— W Zalesiu, w tym dużym domu.

— A to ja wiem i znam tę drogę, to w sąsiedztwie. Niech panienki za mną pójda, to zaprowadzę.

Przez drogę dziewczynki rozmawiały z nim i dowiedziały się, że chłopczyk jest synem leśniczego, że mieszka z rodzicami w domku z rogami jeleniami i że się nazywa Stefanek.

Wkrótce wyszły z lasu na dobrą drogę i podążyły do domu, podziękowawszy wprzód Stefankowi za przysługę.

Drobny ten wypadek zbliżył dzieci do siebie: odtąd widywały się często ze Stefankiem i bawiły się z nim wybornie.

Iza i Mania polubiły go bardzo; znał on wszystkie tajemnice lasu, wiedział, gdzie najpiękniejsze ptaki się gnieźdzą i wskazywał je dziewczynkom, umiał rozróżnić chód sarny, jelenia i lisa, opowiadał ciekawe historie z życia łasic, borsuków, wiewiórek, oraz innych mieszkańców tych gąszczów leśnych. Stefanek również polubił towarzystwo panienek z pałacu; opowiadały mu one takie ciekawe szczegóły o dalekiej podróży, jaką odbyły, jadąc do Europy, o zwyczajach, jakie w Ameryce panują, o wielkiem, ludnem mieście, w którem dawniej mieszkały, o okrętach i innych rzeczach, o które Stefanek ciekawie wypytywał.

I były dzieci szczęśliwe, bawiąc się i biegając wśród cienia świerków.

Ale szczęście nigdy stałe nie bywa, tak też i ich spokój został szybko zmacony. W szczęśliwy, pracowity domek leśniczego uderzył straszny grom nieszczęścia i złamał odrazu to ciche, spokojne życie rodziny.

Pewnego dnia leśniczy, młody i rzeźki mężczyzna, zachorował nagle i zanim sprowadzono lekarza z pobliskiego miasteczka, biedny ojciec Stefanka umarł.

Następnego ranka Iza i Mania dowiedziały się o tem i serdecznie zmartwiły się tą smutną wieścią, a bardziej jeszcze, gdy w jakiś czas potem ojciec im powiedział, że matka Stefanka ma zamiar przenieść się z synem do Krakowa. Biedna, niepoczyszona po stracie męża wdowa chciałaby założyć tam sklep i pracować na swoje oraz syna utrzymanie; leśniczy nie zostawił bowiem żadnego majątku, nie mieliiby przeto tutaj z czego żyć.

Na myśl, iż tracą tak wesołego towarzysza zabaw i wycieczek, dziewczynki rozplakały się.

— Jakże tu nudno teraz będzie — mówiły do siebie — jakże my same teraz bawić się będziemy, szkoda nam bardzo Stefanka!

Lecz wkrótce uspokoiły się, gdyż nowy wypadek odwrócił myśl ich od tego, którego razem opłakiwały i z którym wkrótce miały się rozstać.

Dyana, ładna kasztanowata suczka leśniczego, miała czworo prześlicznych szczeniąt. Śmierć pana, do którego niezmiernie przywiązana była, tak na nią oddziaływała, że ze smutku porzuciła nawet swe dzieci, któremi najtroskliwiej dotychczas się opiekowała, poszła na cmentarz, położyła się na grobie leśniczego i wyjąc żałośnie nie dała się nikomu z niego sprowadzić, a gdy na drugi dzień rano ktoś poszedł zobaczyć, co się z nią dzieje,

znaleziono ją leżącą bez życia... Dwoje małych, zaledwie pięcioletniowych piesków zostało tym sposobem osieroconych; głodne biedactwa żalosnym skomleniem napróżno przywoływały matkę.

Biedna wdowa nie miała ani czasu, ani myśli swobodnej, ani pieniędzy, by zająć się wychowaniem i wykarmieniem szczeniąt, oprócz tego miała wkrótce wyjechać; włożywszy przeto oba szczeniaki do koszyka, posłała je do pałacu z zapytaniem, czy pan Stanton nie kupiłby piesków? Bogaty amerykańczyk nie namyślał się ani chwili, pieski były bardzo ładne, wdowa bardzo biedna, chciał jej tym sposobem dopomóc, zapłacił przeto hojnie i kazał zostawić szczenięta w pałacu.

Mania i Iza zachwycone były pieskami. Okrągłe jak kule, o sierści jedwabistej i dużych czarnych oczach, a krótkich ogonkach, szczenięta wydawały się dziewczynkom czarująco piękne; o nich tylko mówiły, o nich myślały, nimi wciąż były zajęte, a o Stefanku prawie zapomniały.

Gdy wkrótce biedny sierota ze smutną twarzą, z zapłakanymi oczami przyszedł do nich, by się z nimi pożegnać, bo za parę dni miał już z matką wyjechać, dziewczynki zaledwie spojrzwały na niego, tak były zajęte pieskami; klaszcząc w dłonie i skacząc koło kudłatych potworków, przewracających się na krótkich nóżkach, dziewczynki, zamiast podać Stefanowi rączki, zamiast uścisnąć go po przebytem nieszczęściu, poczęły wołać:

— Wiesz? tatko pozwolił nam wybrać sobie po jednym piesku, każda z nas będzie miała ślicznego własnego pieska!

— Który ładniejszy, powiedz Stefanku?

— Ten czarny z białą łatką na łebku to mój — wołała Mania.

— Mój ten kasztanowaty z białemi łapkami — mówiła Iza.

Stefankowi łzy zakręciły się w oczach, ból ścisnął serce, wszystko, co przeżył przez te parę tygodni, stało mu żywo w pamięci. Jeszcze kilka dni temu, jakże był szczęśliwy, a dziś...

Dziś ojciec jego leży w ciasnej czarnej trumnie na cmentarzu, a w domku ich już obcy, nowy leśniczy gospodaruje; ulubiona jego Dyana nie żyje, a śliczne jej szczenięta, któremi się tak cieszył, gdy przyszły na świat, zostały obcym sprzedane. On ich już pieścić i wychowywać nie będzie, a takie ładne ponadawał im nawet imiona!

Mimo całej siły woli, biedny chłopczyzna nie mógł zapanować nad żalem, który mu serce rozdzierał i wybuchnąwszy głośnym płaczem, ukląkł na ziemi, przyciągnął do siebie jednego z piesków i pocałował go całowac i pieścić.

Przestraszone dziewczynki spojrzały na niego zdumione; w serduszkach ich zbudziły się wyrzuty sumienia, że tak całkiem zapomniały o jego zmatwieniu i wiedzione jedną chęcią pocieszenia, pragnąc naprawić złe, przybiegły obie żywo do Stefanka, uklękły przy nim, objęły go za szyję rączkami i całowały go, mówiąc:

— Dam ci wszystko, co tylko zechcesz, tylko nie płacz — mówiła Mania — powiedz, Stefanku, co ci dać?

— I ja również — powtórzyła za starszą siostrą Iza — ja cię tak kocham, Stefanku, nie chcę, żebyś płakał...



Może chcesz moją piłkę, a może moją książkę z obrazkami, powiedz, dam ci ją chętnie!

— Dajcie mu co takiego, coby mu dało rzeczywisty dowód, że go kochacie — odezwał się niespodzianie ojciec.

Pan Stanton od kilku już chwil przypatrywał się z progu swego pokoju tej wzruszającej scenie dziecinnej.

— Dajcie mu co takiego, co wam samym jest drogie i miłe.

Iza i Mania zerwała się z ziemi.

— Co takiego? poradź nam tatusiu! — zawołały po angielsku, biegnąc do ojca.

Pan Stanton chwilę namyślał się nad odpowiedzią, poczem skierował wzrok ku pieskom, które właśnie nakarmione przez dziewczynki, bawiły się z sobą wesoło; potem spojrzął na stojące przy nim dzieci i głaszcząc ich jasne główki, rzekł:

— Czy nie domyślacie się, jaką chcę wam dać radę?

Mania, która uważnie śledziła wyraz twarzy ojca, zarumieniła się mocno.

— Wiem, o czym myślisz, ojczy—szepnęła spuściwszy głowę—ale tego nie mogę zrobić; wszystko, tylko nie mego kochanego pieska!

Pan Stanton nie odpowiedział, dziewczynka stała milcząca, smutna; nagle jej oczy łzami się napełniły, z piersi wyrwał się głośny płacz; trwało to wszystko krótką chwilę.

Wnet oczy otarła, westchnęła ciężko, zbliżyła się do swego pieska, który przewróciwszy się, skomlał żalostnie, wzięła go na ręce, pocałowała w łebek i wyciągnąwszy ręce z nim do Stefanka, rzekła:

— Weź go, nie możesz przecież rozstać się ze wszystkim, co miałeś, weź go i wychowaj sobie, a kochaj go tak, jak ja go kocham. Pamiętaj zawsze i o nas, i pisz nam, jak się ma piesek.

Stefanek zdumiony nie wierzył sam sobie, że piesek miał być jego własnością; nie chciał go przyjąć, ale gdy Mania nalegała, aby go sobie zabrał, a pan Stanton dodał, że przyzwala, uradowany ucałował rączki Mani i pożegnawszy państwa Stanton, oraz ich córki i ucałowany serdecznie przez nich, opuścił pałac, unosząc ze sobą czarnego pieska Mani.

Pan Stanton zbliżył się do swej starszej córeczki, objął jej główkę i tkliwie przycisnął do serca.

— Jestem rad z ciebie, Maniu, bo umiałaś siebie zwyciężyć i zdobyć się na ofiarę — rzekł — czy nie czujesz zadowolenia w sercu z tego, coś uczyniła? — zapytał córeczki.

— Nigdy jeszcze nie było mi tak przyjemnie, jak dzisiaj — odpowiedziała Mania — uśmiechając się przez łzy.

— A to dlatego, moje dziecko, że tym postępkim uszczęśliwiłaś biednego chłopca, a tak właśnie powinniśmy zawsze robić.

\* \* \*

Stefan bardzo polubił swego psa, nazwał go Zorem i często, gdy tęsknota za ojczulkiem, za zielonym lasem, za swobodą na wsi, żywiej w jego sercu się budziła, brał go na ręce, pieścił i mówił:

— Jakie to szczęście, że ty mi chociaż zostałeś!

Zor rósł ogromnie, stawał się codzien zgrabniejszy, ze swoją błyszczącą sierścią, zgrabną główką, rozum-

nemi oczami, wyglądał coraz wspanialej, był ulubieńcem całej ulicy, na której matka Stefana, przeniósłszy się do Krakowa, zamieszkała. Kiedy Stefanek szedł do szkoły, a Zor, idąc obok niego, odprowadzał go, to nie tylko dzieci, lecz i dorośli zatrzymywali się i oglądali za pięknym psem, krocącym wolno obok swego małego pana. Już kilku obcych panów zatrzymywało i zapytywało Stefanka, czy nie sprzeda im psa, lecz chłopczyk oburzał się na taką propozycję.

Raz nawet jeden bogaty kupiec, który miał sklep na rogu ulicy, posłał do matki Stefanka, proponując za psa dwadzieścia złotych reńskich, jeśli zechce sprzedać Zora, lecz Stefan tak prosił mamę, że ta, widząc łzy w oczach synka na samą myśl rozstania się z psem, nie chciała pozbawiać go tej jedynej przyjemności i odpisała, że psa sprzedać nie może.

Wdowa po leśniczym, przybywszy do Krakowa, za skromną sumkę, jaką uzbierała ze sprzedaży ruchomości, otworzyła sklep spożywczy. Zrazu nieźle jej się powodziło. Mieli na skromne bardzo utrzymanie, lecz nędzy nie znali, Stefan nawet chodził do szkoły i uczył się, bo i na to wystarczało. Zora kochał coraz więcej, bo też był to jego jedyny towarzysz zabaw; matka, zajęta od świtu do nocy, nie miała czasu na dłuższe z nim gawędy, rozmawiał przeto ze swym ulubieńcem. Siadłszy na stołku, przyciągał go do siebie i opierał głowę o jego miękki lśniący łeb.

— Czy ty pamiętasz, Zorze, — mówił do niego — piękne nasze sosny, które w lesie tak mile szumiąły? Pamiętasz ty tatkę mego, gdy z twoją matką chodził po lesie, a trąbka jego tak pięknie się rozlegała? Czy pa-

miętasz rude wiewiórki, które tak zgrabnie skakały z jednego drzewa na drugie? Czy pamiętasz dwie ładne panielki, które do nas często przychodziły i tę Manię miłutką, co mi ciebie podarowała.

Pies słuchał tych słów uważnie, rozumnymi oczami wpatrywał się w swego pana, poszczekiwał tylko, jakby mu odpowiadał i machał ogonem na znak, że rozumie i że jest zadowolony gdy Stefanek do niego mówi, lizał też jego ręce z widocznym współczuciem.

Wkrótce jednak położenie wdowy zmieniło się, ktoś założył naprzeciwko również sklep spożywczy, a chcąc kupujących przyciągnąć, sprzedawał wszystko taniej; publiczność poczęła przenosić się do nowego sklepu, nie zwróciwszy uwagi, że w nim towary są gorsze. Biedna wdowa sprzedawała tak mało, iż bywały dni, że i reńskiego nie zarobiła. Tymczasem zima zbliżała się szybkim krokiem. Stefan potrzebował palta, zbliżał się kwartał, gospodarzowi trzeba było zapłacić za mieszkanie i sklep, a zapasy spożywcze były wyczerpane, nowe trzeba było sprowadzić, w szufladce zaś nie było pieniędzy. Głód i zimno zaczęły im grozić, biedna kobieta ze zmartwienia zachorowała i musiała położyć się do łóżka.

Stefan widywał matkę w ostatnich czasach zwykle smutną, często zapłakaną, myślał, że tak żałuje tego, co mieli poprzednio za życia ojca, ale teraz, gdy leżała w gorączce, dowiedział się wszystkiego; siadł zgnębiony obok jej łóżka i myślał tylko o tem, jak mamę pocieszyć, jakby jej pomódz.

Na dworze wichur był straszliwy, śnieg bił o szyby, w izdebce było zimno, lecz on w tej chwili nie czuł, on myślał o matce...

Wtem ktoś pociągnął go za rękaw, obejrzał się, to Zor stał przy nim i czarnemi oczami wpatrywał się w niego, jakby chciał zapytać, co mu jest?

Stefan spojrzął na psa i nagle przypomniał sobie, że młody malarz, który mieszkał wyżej od nich, spotkawszy go raz na dole, zapytał, czyby mu nie sprzedał Zora. Stefanek wówczas grzecznie odmówił. Myśl ta ścisnęła mu żalem serce, ale wspomniawszy na biedną matkę, nie zawahał się, westchnął tylko i pomyślał, że gdy pies będzie u malarza, to go przynajmniej widywać będzie. Pogłaskał psa i rzekł:

— Mój Zorze, trzeba nam się rozłączyć, już nie będziemy razem, dostaniesz nowego pana. Chodź ze mną, mój dobry psie!

Zor jakby zrozumiał Stefanka, spuścił łeb i ogon i smutno poszedł za nim.

Młody malarz bardzo się ucieszył z propozycyi, gdy mu Stefanek cicho powiedział, że chce Zora sprzedać.

— Nie jestem bogaty, ale chętnie dam za psa pięćdziesiąt reńskich, bo tyle jest wart. Nie mam nikogo na świecie, ktoby mnie kochał, niechże ten pies będzie moim przyjacielem. Bądź spokojny, chłopcze, u mnie będzie mu dobrze.

Z temi słowy wręczył Stefankowi 50 florenów.

Nie będziemy opisywali czułego pożegnania naszego chłopczyka z psem. Zor jakby przeczuwał, że jego matemu, kochańcemu panu będzie teraz lepiej i że trzeba ponieść tę ofiarę, patrzył tylko na niego smutnie i ciągle lizał mu ręce. Potem położył się spokojnie u nóg malarza i tylko boleśnie skomlał, gdy Stefanek wychodził bez niego z pokoju.

Chłopczyna powrócił więc sam do domu, oczy miał pełne łez, lecz połknął je odważnie.

— Byle mama była zdrowa — szepnął wszedłszy do zimnej izdebki.

Matka ozdrowiała, gdyż Stefanek za pieniądze, jakie dostał od malarza, kupił drzewa, aby izdebkę ogrzać i sprowadził doktora; wkrótce też gorączka ustała, a przy posilnych potrawach, jakie dobra sąsiadka wdowie przygotowywała, wkrótce ta zaczęła wracać do sił.

Na zapytanie mamy, gdzie jest Zor, Stefanek powiedział, że go sprzedał malarzowi. Zasmuciła się wdowa i rzekła:

— Moje dziecko, jak mogłeś to zrobić? Pewno ci żal tego towarzysza twoich zabaw, taką ofiarę poniosłeś dla mnie!

— Żadnej ofiary nie poniosłem. Przecież go codziennie widuję na dole. Zupełnie nie żałuję tego, co zrobiłem, bo za to ty, moja mateczko, jesteś zdrowa!

Gdy już wdowa wstała, znów wróciła do pracy i za pozostałe ze sprzedaży psa pieniądze kupiła trochę towaru. Zdarzyło się to bardzo szczęśliwie i w porę, bo przez ten czas publiczność przekonawszy się, że nowy kupiec jest niesumienny i za mniejsze pieniądze gorszy towar daje, sklep jej po dawnemu nawiedzać poczęła.

Chociaż Zorowi było u malarza bardzo dobrze, lecz stracił swoją dawną wesołość, nie chciał jeść, leżał smutny w pokoju, a gdy wyszedł z malarzem, to już nie skakał tak jak dawniej koło Stefanka, lecz włókł się ze spuszczoneym ogonem. Tęsknił też bardzo za dawnym panem i często wykradał się z mieszkania malarza, by wpaść czasami do sklepiku wdowy. Wtedy

z głośnem skowyczeniem rzucał się na Stefana, lizał jego twarz i ręce, potem kładł się cicho u nóg jego i patrzył błagająco na swego dawnego pana, jakby mu chciał powiedzieć:

— Nie odpędzaj mnie od siebie!

Stefanowi serce się krajało, jednakże kazał mu wracać na górę do malarza.

— Ty już nie mój — mówił ze łzami w oczach — nie mogę cię zatrzymywać u siebie.

Tak przeszła jesień i zima, Stefanek chodził do szkoły i uczył się pilnie. Pewnego dnia, a była to już wiosna, chłopczyk nasz, obładowany kajetami i książkami, powracał do domu; wtem ujrzał przed domem powozik, a w nim siedzącego malarza; kuferek na koźle wskazywał, że wybiera się w dalszą drogę. Obok powozu stał Zor z miną niezadowoloną, malarz wołał go i nakazywał, aby wszedł do powozu, lecz pies widocznie nie miał ochoty go usłuchać.

— Mój młody przyjacielu, każ Zorowi wejść do powozu, przez jego kaprysy gotowem spóźnić się na kolej — rzekł malarz, spostrzegłszy nadchodzącego Stefana. Chłopiec stanął.

— Pan wyjeżdża na długo? — zapytał i zbladł na samą myśl, że psa już może nie zobaczy i nie popieści.

— Na kilka tygodni — rzekł malarz — a może i na dłużej, jadę do Wiednia.

W oczach chłopca błysnęły łzy.

Uściskał psa, pociągnął go do powozu i rzekł:

— Wejdz, mój piesku, wejdz Zorze i bądź posłuszny, do widzenia!

Wziął psa na ręce i podał go malarzowi, który skiniem głowy podziękował mu za przystupę.

Pies zaskowyczał i zawył żałośnie, woźnica klasnął z bicza, konie ruszyły, koła zaturkotały.

Stefan nie mógł dłużej zapanować nad sobą, zapłakał cicho.

— Jakże tu teraz będzie smutno—szeptał do siebie—co ja teraz zrobię? Już pewno nigdy nie zobaczę mego dobrego psa, mego kochanego Zora!

Lecz zanim wszedł do mieszkania, otarł łzy starannie.

— Co ci jest?—spytała matka, widząc jego zaczerwienione powieki.

— Nie pytaj, mamó — odparł Stefan — miałem małą przykrość, ale to już przeszło; to malarz z Zorem odjechał, pożegnałem się z nim.

Matka ucałowała jego główkę serdecznie.

— Niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko—dodała.

\* \* \*

Rozmaitemi drogami prowadzi dobry Bóg swoje dzieci do szczęścia. Stefanek ani przeczuwał, jaki los przeznaczył mu Ojciec Niebieski.

Po odjeździe Zora chłopczyk nieprędko pocieszył się a i pies tęsknił wzajemnie za nim; przez pierwsze dni nie chciał nic jeść, chodził wciąż smutny, a czasami nawet wył żałośnie tak, że malarz żałował, iż nie zostawił swego faworyta w Krakowie. A chciał go do siebie przywiązać, gdyż naprawdę psa polubił.

Pewnego popołudnia malarz przechodził z Zorem koło jednego z pierwszorzędných hoteli Wiednia, z którego bramy wyszli właśnie jacyś państwo, a z niemi dwie dziew-



czynki. Naprzód szedł pies o sierści kasztanowatej, z białymi łapkami; ujrawszy Zora, zatrzymał się i naraz skoczył ku niemu, skomląc radośnie i bijąc ogonem. Zor także podziął gdzieś swój smutek i jakby spotkał znajomego, zaczął również skakać i dawać wszelkie oznaki radości.

— Lord! Lord!—wołały dziewczynki—chodź tu zaraz, lecz pies ani myślał być posłusznym i nie chciał odejść od Zora.

Dziewczynki przybiegły, wołały i ciągnęły swego Lorda, ale ten zajęty był tylko Zorem. Malarz przystanął i przypatrywał się z uśmiechem bawiącym się psom; w dziwny sposób były też do siebie podobne, jednego wzrostu, jednego gatunku, jakby były z jednego gniazda.

Ponieważ trudno było rozłączyć psy tak cieszące się sobą, więc i rodzice tych dziewczynek zmuszeni byli zatrzymać się.

— Spójrz-no, żono, co za dziwne zdarzenie — rzekł pan — patrzcie Maniu i Iziu, jak te psy jednakowo wyglądają. Moznaby pomyśleć, że Lord spotkał swego brata, którego przed dwoma laty Mania darowała synkowi leśniczego z Zalesia.

— Słuszna uwaga — odparła pani.

Pan Stanton, gdyż jak się domyślicie, oni to byli, zbliżył się z grzecznym ukłonem do malarza.

— Wybaczy pan mą śmiałość, lecz nie bez powodu chciałbym wiedzieć, skąd pan ma tego psa? — zapytał uprzejmie.

Malarz na ukłon odpowiedział ukłonem i pokrótce objaśnił, od kogo psa kupił, jak po synowsku postąpił Stefanek, rozłączając się ze swoim ulubieńcem i w jakiej biedzie była jego matka.

Mania i Izia słuchały wzruszone wiadomości dotyczących dawnego towarzysza zabaw, a pan Stanton zadawał malarzowi różne pytania, dotyczące Stefana. Jakże zdziwiony był malarz, gdy się dowiedział, że Stefanek i jego matka to dawni znajomi i sąsiedzi tych państwa, a pies to podarunek ich córeczki zrobiony chłopcykowi.

Przez cały czas tej rozmowy pani Stanton nie przemówiła ani słowa, lecz ciągle badawczo wpatrywała się w twarz nieznajomego.

— Widzę, że nie rozłączymy tak łatwo naszych psów — rzekł pan Stanton, — zamiast zatem stać tu na ulicy, chodźmy razem przejść się.

Malarz chętnie się zgodził; pani Stanton, nie spuszczać oczu z nieznajomego, poczęła go wypytywać o różne szczegóły, dotyczące jego osoby.

Młody człowiek był szczerym, powiedział, że jest sierotą wychowanym w zakładzie sierot i nawet nie pamięta rodziców, że miał siostrę o ośm lat starszą od siebie, która jako sierota wychowywała się w klasztorze w innem mieście, lecz nie wie zupełnie, gdzie się znajduje, bo był małym dzieckiem, gdy jacyś bogaci państwo, którym się dziewczynka podobała, zaopiekowali się nią i wzięli ją jako własną córkę.

Rodzice ich mieszkali kiedyś we Lwowie; on zaś, będąc jeszcze chłopięciem, okazywał wielkie zdolności do rysunku; spostrzegłszy to, dyrektor szkoły, w której się uczył, chcąc mu pomódz w kształceniu się, przedstawił go panu Walewskiemu, możnemu właścicielowi majątku pod Krakowem, który, sam miłośnik sztuk, protegował młodych ludzi z talentem. Pan Walewski oddał go do akademii sztuk pięknych w Krakowie, aby

tam kształcił się w zawodzie malarskim. Skończył już akademię i od kilku lat pracuje samodzielnie, a teraz przyjechał do Wiednia w celu dalszych studyów.

— Jestem dziwnie samotny na świecie — dodał — nie mam nikogo bliższego i ani jednego krewnego.

— A przecież masz pan siostrę, cóż się z nią stało? — zawołała pani Stanton drżącym głosem i coraz bledsza.

— Wielebym dał za to, żeby się dowiedzieć, co się z nią dzieje — mówił młody malarz głosem wzruszonym — smutno to nie mieć rodziny! Robiłem różne starania, lecz nawet na ślad jej wpaść nie mogłem: przepadła dla mnie bez wieści, widocznie umarła, a może zapomniała o tem, że ma brata na świecie, skoro nie starała się nawet dowiedzieć, czy on żyje.

— Nie umarła i nie zapomniała — wzruszonym głosem zawołała pani Stanton, i drżącą dłońią schwyciła malarza za rękę, — ta siostra od wielu lat czyniła poszukiwania, aby odnaleźć brata, ale bezskutecznie, a teraz od trzech lat mieszka w kraju z mężem i dziećmi, jedynie w tym celu, by odszukać swego ukochanego brata.

Młody człowiek spojrzał na mówiącą wystraszone mi oczami, jakby chciał przejrzeć jej serce. Lecz ta radością błyszczącemi oczami patrzyła na niego, uśmiechając się, w końcu przez łzy zawołała:

— Mój drogi Stasiu! mój ukochany bracie! Odnalazłam cię nareszcie, Bogu dzięki, jakież to szczęśliwy przypadek zbliżył nas ku sobie! Teraz cię poznaję! O jakież jestem szczęśliwa!

— Więc to pani byłabyś moją siostrą, Marynią? — zawołał malarz radosnym głosem.

— Tak, to ja jestem tą Marynią, którą przed dwudziestu laty wzięli państwo Walter z klasztoru, wychowali, zawieźli za granicę i tam wykształcili. Jakże się cieszę, że Bóg dozwolił nam ciebie, kochany Stasiu, odnaleźć, co za cudowny przypadek!! A myśmy właśnie chcieli jutro stąd wyjechać i wrócić do Ameryki, widząc, że nasze poszukiwania były daremne; a ty byłeś tak blisko nas! Lecz pójdźmy do hotelu, tam pomówimy o wszystkim.

— I podążyli wszyscy wzruszeni do hotelu, a gdy znaleźli się w pokoju, wówczas brat i siostra, tak długo z sobą rozłączeni, rzucili się sobie w objęcia; dziewczynki uradowane ucałowały odnalezonego wujaszka.

Potem pani Stanton opowiedziała, że państwo Walter wkrótce po wzięciu jej z klasztoru wyjechali do Ameryki, że tam ją starannie wychowywali i że ona poznawszy tam bogatego przemysłowca, pana Stanton, wyszła za niego. Jednak ciągle tęskniła za krajem i za bratem, o którym, pomimo pisania do Lwowa, nic się dowiedzieć nie mogła; w końcu mąż, widząc jej ciągłą tęsknotę, postanowił przyjechać na jakiś czas w jej strony rodzinne w celu czynienia poszukiwań.

— A już straciliśmy wszelką nadzieję odnalezienia cię, bo nam powiedziano, że chłopczyk wzięty z zakładu sierot wyjechał zagranicę,— mówiła, patrząc ze łzami w oczach na odzyskanego— tymczasem Pan Bóg tak cudownie zdarzył!

— To wszystko zasługa Mani—odezwała się mała Iza—ona podarowała Stefanowi swego pieska i tym sposobem znaleźliśmy wujaszka. Dobre pieski, chodźcie

tutaj, niech was za to uściskam! gdyby nie wy, odjechałibyśmy z mamą ciągle smutną.

— Mania za swoją ofiarę hojnie została nagrodzona, bo szczęściem mamy — rzekł pan Stanton, — teraz musimy się dowiedzieć o Stefanie i jego matce; trzeba się niemi zająć i pomódz im.

— Trzeba koniecznie — rzekł malarz — to dobry chłopiec i zasłużył na to. Jak to dobrze, że ja od niego wtedy kupiłem Zora!

Państwo Stanton postanowili pozostać jeszcze jakiś czas w Europie, tak dla nacieszenia się odnalezionym bratem Stanisławem, jak i w celu zajęcia się wdową i jej synem.

W kilka dni po tem dziwnem spotkaniu się brata i siostry w Wiedniu, wdowa po leśniczym otrzymała list rekomendowany, w którym pan Stanton prosił ją, aby sprzedała sklepik, przeniosła się do Zalesia i zamieszkała w ich opuszczonym pałacu, jako gospodyni.

«Powrócimy do niego wkrótce na stałe» — pisał ojciec Izy i Mani, — «pani powierzę gospodarstwo domowe i pensję roczną wyznaczę, Stefana zaś na leśniczego pokieruję. Posyłam pani na tymczasowe potrzeby 200 reńskich. Stefanowi proszę powiedzieć, że Zor jest zdrow, wierny mu zawsze i że go wkrótce zobaczy, by się z nim więcej nie rozłączyć, bo nabywca jego z nami razem mieszkać będzie.»

Łatwo sobie wyobrazić, jaką radość wywołał ten list w izdebce biednej wdowy leśniczego.

Po kilku tygodniach Stefanek przyjechał z matką do dawnej swojej siedziby i najprzód poszli na cmen-

tarz. Tam na grobie ojca podziękował Stefanek Bogu za Jego łaskę dla matki, że będzie miała odtąd dni spokojne, a sam przyrzekł sobie uczyć się i wrócić do tych lasów, jako leśniczy.

Wkrótce przyjechał i malarz i przywiózł z sobą Zora. Wielka była radość psa, gdy zobaczył swego dawnego pana, a i Stefanek czule uściskał swego przyjaciela. Potem zawiózł malarz chłopca do Krakowa; tam umieścił go na stancyi u dobrych znajomych, za co płacili państwo Stanton. Stefanek zaczął chodzić do gimnazjum.

Zor został na wsi, przy matce Stefanka, malarz zaś wkrótce potem z siostrą i szwagrem wyjechał do Ameryki, skąd mają wkrótce powrócić.

Stefanek ze smutkiem rozstawał się ze swoją mamą, ale nauka i pobyt w Krakowie wymagały tego. Parę razy do roku przyjeżdżał na wieś, a wtedy po przywitaniu się z matką szedł po dawnemu bawić się ze swoim Zorem, który tak przyczynił się do jego szczęścia.

Teraz Stefanek kończy już szkoły i ma zamiar uczyć się leśnictwa, aby powrócić do dobrych państwa Stanton i wywdziękzyć się za ich dobrodziejstwa; kupili bowiem część przyległego lasu i będą potrzebowali dobrego leśniczego.

---

## DZIELNY CZŁOWIEK.

---

Było to wczesną wiosną, roku 1840. Ciepły wiatr zaczął rozpuszczać śniegi w górach, strumienie wzbierały i spokojne zwykle dopływy naszej Wisły niosły do niej dużo wody i lodu, tak, że ta królowa rzek naszych, której mętne wody leniwie napozór płyną, zaczęła burzyć się, pienić i szumieć. Wkrótce wystąpiła poza brzegi swego koryta i zalewała okoliczne miasta i wioski.

Temuż losowi uległa i Warszawa, nie cała wprawdzie, lecz dolne jej ulice: Solec, Bednarska, Sowia, Furmańska i t. d. zamieniły się w kanały, po których tylko łódkami jeździć było można. Woda przybierać począła wieczorem i całą noc poziom jej podnosił się z niesłychaną szybkością, szerząc coraz większe spustoszenie. Popłoch był też niesłychany w mieście i sąsiednich wioskach, nad Wisłą leżących. Ratunek był nawet utrudniony z powodu, że lodowe okowy, które całą zimę w swej mocy rzekę trzymały, teraz właśnie pod wpływem słonecznych promieni pękały, lecz nie rozpuściły się jeszcze zupełnie. Ogromne kawały lodu płynęły po rzece, utrudniając przeprawę ludziom, którzy

wsiadłszy na łódki, chcieli śpieszyć z pomocą biedakom i nieszczęśliwym, wodą zalany.

W owym czasie na Solcu wznosił się mały domek drewniany, oddalony od innych zabudowań; stał on samotny, a mieszkał w nim biedny koszykarz z liczną rodziną. W nocy, gdy wszyscy spali, okrutna rzeka zalała i to ubogie domostwo. Koszykarz zbudzony szumem, z jakim wezbrane fale pędziły, wyrzął przez okno, aby zobaczyć, co ów szum znaczy i z przerażeniem spostrzegł, że domek jego już był otoczony przez wezbrane wody.

Niebezpieczeństwo było podwójne, bo woda wspinała się ku małym okienkom i pewnym być można było, że lada chwila wlewać się zacznie do wnętrza. Potworne kawały lodu uderzały o ściany domku, mogły również rozbić drewniany budynek. Przerażony tem nieszczęśliwy człowiek zbudził żonę i dzieci.

— Ubierajcie się jaknajprędzej! — zawołał — Wisła wylała.

— Wisła wylała! — wyrazy te znane były już w drewnianym domku, bo nie pierwszy to raz wody jej otoczyły go, więc tak dzieci jak matka śpiesznie ubierać się poczęły. Tymczasem powoli poczęło świtać, koszykarz poprowadził wszystkich na strych, a stąd przez okno facyatki dostali się na dach; tutaj umieścili się i wyciągając błagalnie ręce, ile sił im w piersiach starczyło, przyzywali pełnym rozpachy głosem ratunku.

Nad przeciwległym brzegiem spienionej rzeki, tam, gdzie jej wody jeszcze nie dosięgły, stała gromadka ludzi i ze współczuciem patrzyła na nieszczęśliwą rodzinę, radząc nad tem, jakby jej przyjść z pomocą. Ten



i ów już oświadczył, że wsiądzie na łódkę i podpłynie do domku koszykarza, lecz gdy woda bardziej pienie się poczęła, a kry gromadziły się i piętrzyły w coraz większej ilości, odwaga opuszczała śmiazków i zaniechali szlachetnego zamiaru; każdy miał kogoś z rodziny: ten starą matkę, którą żywił swą pracą, tamten siostrę sła-bowitą, ów troje dzieci drobnych, więc każdy rzekł so-bie w duszy:

— Nie mogę się narażać na tak oczywiste niebez-pieczeństwo, jeszcze potrzebny jestem na ziemi.

A tymczasem położenie nieszczęśliwej rodziny z każ-dą chwilą stawało się groźniejsze: kry, pchane siłą roz-szalałych fal, biły z wściekłością w drewniane ściany domu; chwiał się on i pochylał wyraźnie ku spienio-nym bałwanom, które czyhać się zdawały na ofiary, znajdujące się na jego dachu słomianym.

— Biedni, nieszczęśliwi ludzie!

Wyrazy te ciągle można było słyszeć pomiędzy stojącymi nad brzegiem, lecz na więcej, jak na słowa współczucia, nikt się nie ważył.

Wtem z pośród wzruszonej, lecz biernej gromadki ludzi, wysunął się mężczyzna lat średnich, którego ubra-nie świadczyło, iż jest zamożny.

— Temu, kto odważy się popłynąć do tej nieszczę-śliwej rodziny i przywiezie ją tutaj, dam 200 rubli — krzyknął głośno.

Nikt wszakże mu nie odpowiedział, nikt się nie ru-szył. Milsze każdemu życie, niż pieniądze...

Nagle rozległ się huk złowrogi w powietrzu: to kra-nowa, większa od innych, uderzyła o dom koszykarza.

Krzyk trwogi, jaki wydały biedne dzieci siedzące na dachu, był mu odpowiedzią.

— Ojczy, domek się wali! — jęczały dzieci.

— O my nieszczęśliwi! — wtórowała im matka.

— Ludzie, na miłość boską, ratujcie nas! — wołał zrozpaczony ojciec.

Lecz nikt nie przybywał z pomocą.

Naraz przed zebraną gromadką ludzi, przerażoną położeniem nieszczęśliwej rodziny, stanął młody wieśniak w siermiędze kmiecej, w siwej barankowej czapce na głowie.

— Nie ma kto z państwa łódki? — rzekł — ja tu obcy, z Górc przyszedłem za kupnem koni i zaszedłem tutaj przez ciekawość; gdybym miał łódź, popłynąłbym natychmiast do tych nieszczęśliwych.

— A nie lękasz się grożącego niebezpieczeństwa? kry mogą łódź przewrócić! — zapytało kilku.

— To przewrócą mnie jednego — odparł wieśniak — a jak ten dom przewrócą, to sześć osób śmierć znajdzie w Wiśle. Policzcie ino, ilu ich tam siedzi na dachu. No, nie ma z was, panowie, który łodzi?

— Weź moją — odezwał się siwy starzec — gdybym był młodym, popłynąłbym na ratunek tym biedakom, lecz dłoń moja jużby nie odparła fali wezbranej.

To mówiąc, stary rybak wysunął się z tłumu i skierował w prawą stronę, gdzie na piasku widać było leżącą do góry dnem małą barkę, błękitno pomalowaną, a obok niej wiosło.

Młody wieśniak, ujrawszy ją, uśmiechnął się.

— Ot i wszystko, co mi potrzebne — rzekł — i ściągnął łódź na wodę, wsiadł do niej, schwycił wiosło

w silne dłonie i począł kierować się ku drewnianemu domkowi.

Rozgniewana jego śmiałością Wisła, pchnęła ku niemu ogromne kawały lodu, które łódź nagle otoczyły.

Oddech zamarł w piersiach tych, co patrzyli na odpływającego; nieszczęśliwa matka, znajdująca się na dachu, złożywszy ręce do modlitwy, podniosła wzrok w niebo.

— Panie miłosierny, czuwaj nad nim! — szepnęła.

Siedmioletni jej synek Juliś i ośmioletnia Wandzia, idąc za jej przykładem, ukłękli, złożyli rączki pobożnie.

— Boże, odepchnij od niego te kry szkaradne — rzekli — pozwól, by ten dobry człowiek nas ocalił.

Młody wieśniak nie uląkł się grożącego niebezpieczeństwa; silną dłonią odepchnął lody, cisnące się ku niemu i popłynął dalej; lecz znowu pędzi kra, spieniona fala pcha ją prosto na łódź; wieśniak chce uniknąć spotkania, kieruje swą baręką maleńką w inną stronę, i uderza o inną krę; łódź się zachwiała, pochylił się wieśniak, ledwo go widać było.

Na łądzie i na dachu rozległ się okrzyk zgrozy, widzowie zamknęli oczy pod wrażeniem strachu; lecz strach już minął, spoglądają znowu na rzekę, a łódź płynie po niej spokojnie, wieśniak robi wiosłem odważnie, zręcznie kawały lodu wymija i zbliża się powoli do zalanego domku; już, już dobija do niego, siedzące dzieci na dachu uśmiechem nadziei go witają, matka go błogosławi, a ojciec czyni przygotowania, by mu spuścić do barłki siedzących na dachu. Już, już dopływa, jeszcze raz kra uderza o łódź, ale nie wywraca jej, tylko wstrząsa, nareszcie dopłynął do celu.

Okrzyki radości uczciły ten pierwszy tryumf. Uszczęśliwiony ojciec spuszcza mu na sznurze czworo swych drobnych dzieci.

— My jakoś się dostaniemy za niemi — powiada — za ciężko byłoby, gdybyśmy wszyscy wsiedli; byle dzieci ocalić.

— Wrócę po was — odpowiada odważny wieśniak i kieruje łódź napowrót do brzegu, dobija szczęśliwie i czworo drobnych dzieci zbawia od strasznej śmierci.

Lecz nie daje za wygraną, dąży teraz po rodziców.

— Ależby maleństwa z głodu pomarły, gdybym matki i ojca im nie przywiózł — rzekł do tych, co dziwią się jego odwadze; i powtórnie przebywa niebezpieczną przeprawę. Bóg czuwa nad nim: szczęśliwie dopływa do domu koszykarza i zabiera do swej łodzi matkę i ojca dzieci, które już uratował.

A czas był wielki, aby ci nieszczęśliwi ludzie opuścili swą chatę, gdyż zaledwie łódź odplynęła, wielka masa lodu naparła na chwiejący się budynek, huk straszliwy się rozległ i nieszczęśliwy domek runął w spienione fale rzeki.

— Niech ci Bóg błogosławi przez całe życie za to, coś dla nas uczynił, dobry człowieku! — rzekł wzruszony koszykarz, podając dłoń wieśniakowi.

— Dzielny człowiek! — wołali stojący u brzegu.

Gdy łódź do lądu dobiła i wieśniak z niej wysiadł, cisnęli się wszyscy do niego, by mu wyrazić swój szacunek. Bogaty zaś pan, który hojną nagrodę obiecał temu, co się na ten krok śmiały waży, przystąpił do niego. Dobywszy pugilares, wyjął pieniądze i chciał mu

dać obiecaną nagrodę. Lecz zacny ten człowiek cofnął się i rzekł:

— Nie dla pieniędzy narażałem życie, nie brak mi chleba; dziękuję łaskawemu panu, nie wezmę tej nagrody; znajdują się biedniejsi ode mnie, co z wdzięcznością przyjmą te pieniądze, ot naprzykład ci, którzy w tej powodzi wszystko stracili. Natchnienie Boskie popchnęło mnie na wzburzone fale, by ratować bliźnich; łaska Boża pomogła mi, żem nie zginął w przepawie i drugim zginąć nie pozwolił. Bóg mnie nagrodzi.

Z temi słowy, dzielny, szlachetny ten człowiek skłonił się panu i zwolna oddalił.

— Jakież pod tą kmiącą sukmaną biją szlachetne serca!—szepnął pan sam do siebie, goniąc wzruszonym wzrokiem za odchodzącym.

Przywołał potem koszykarza i jego rodzinę i obdarzył ich temi pieniędzmi, które szlachetny wybawca dla nich przeznaczył.

Tym sposobem biedni ludzie, utraciwszy całe mienie, przynajmniej z głodu nie zginęli.

---

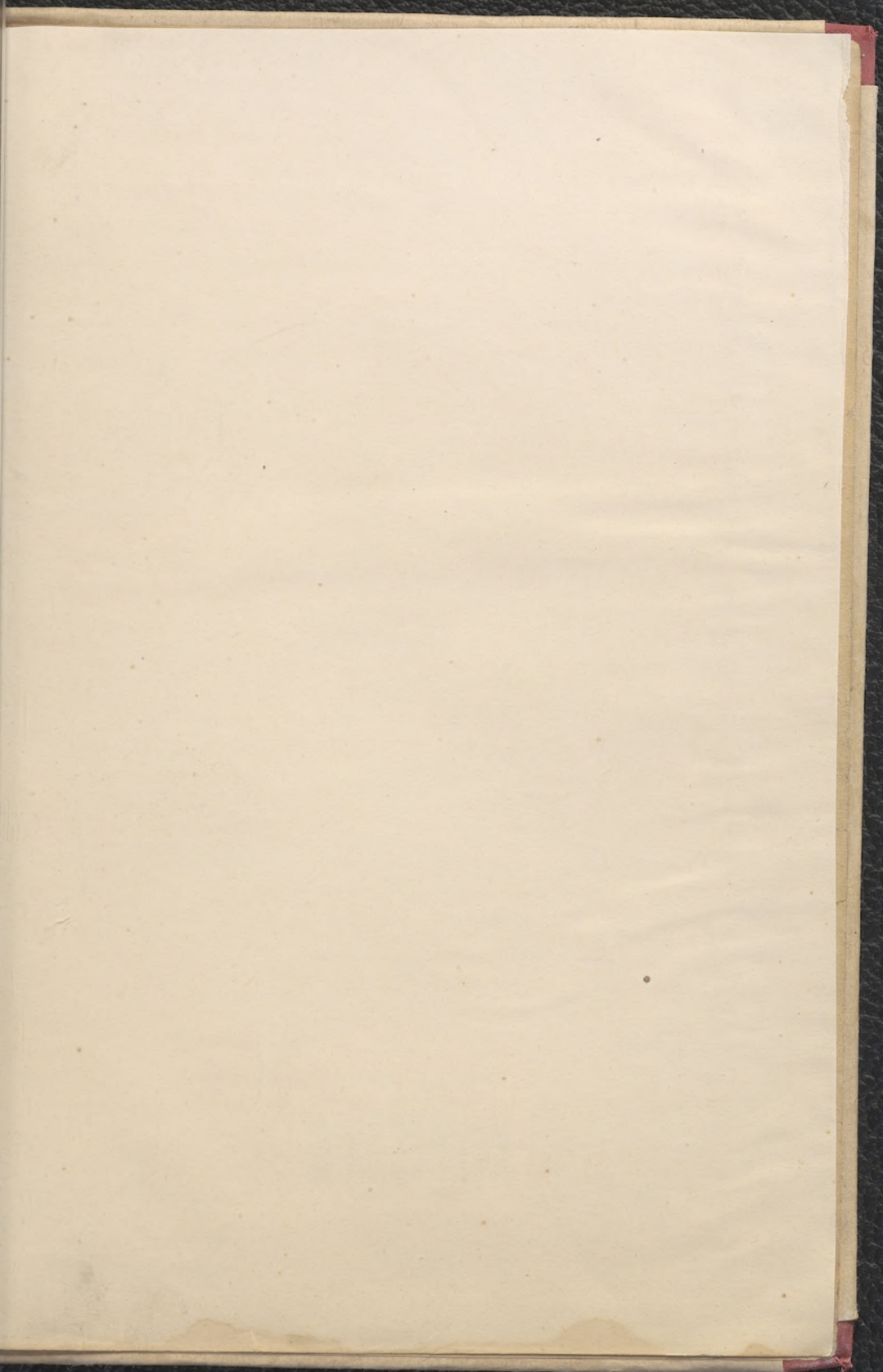
## SPIS RZECZY.

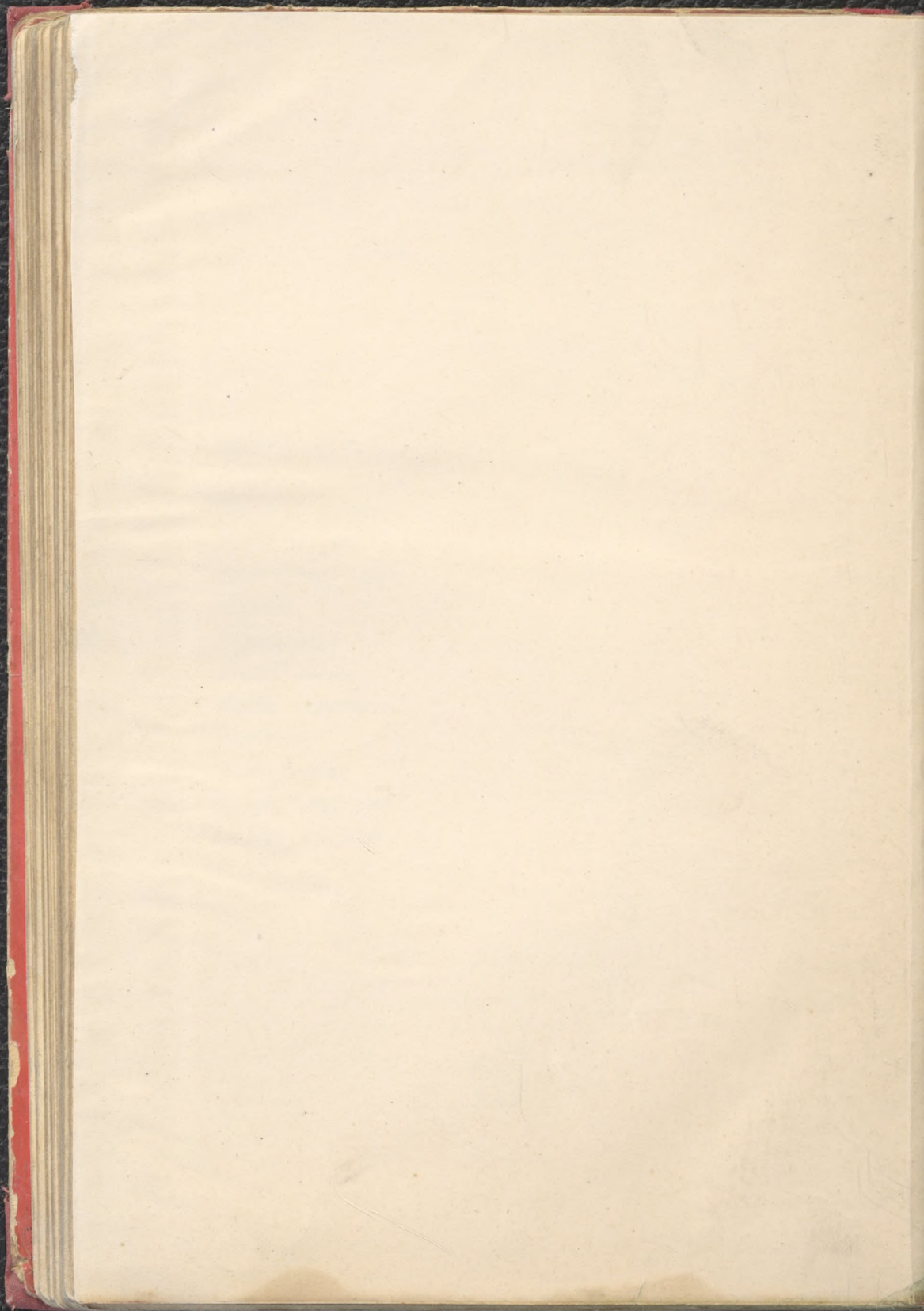
---

Rada familijna . . . . .	5
Wróbelek . . . . .	21
Robaczek świętojański . . . . .	31
Jazda na lwie . . . . .	41
Mróz mały i duży . . . . .	49
Zapóźno . . . . .	59
Solenizantka . . . . .	73
Ciężka robota . . . . .	82
Nauka rachunków . . . . .	88
Obrażony . . . . .	96
Dobry kolega . . . . .	105
Stefan i jego pies . . . . .	117
Dzielny człowiek . . . . .	137

---









785

90. / Aug

D-129 / 50

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020415912

656101247

1.981.267 Cim.